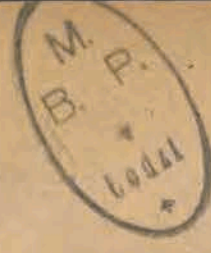


13



Opłata pocztowa uszczona ryczałtem.

Cena 10 zł

W i a s t o

47 Biblioteka Publiczna
2662, Andrzeja 14

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 11 maja 1947 r.

Nr 19 (98)

Piotr Greniuk

Celem - postępowe środowisko rolnicze

Drobna liczba przedwojennych szkół rolniczych (138 — 4000 absolwentów) nie zdołała przestawić konserwatywnych metod gospodarki na nowe tory i mimo pewnych usiłowań zmierzających do spopularyzowania wiedzy rolniczej na wsi nie dawała pozytywnych rezultatów.

Przyczyn ku temu było wiele. Podawał je prof. J. Mikułowski-Pomorski w artykule „Szkoly rolnicze i oświata rolnicza poza-szkolna” (Zagadnienia pracy kulturalnej rocznik II Warszawa 1936): „Nie trudno jest dopatrzeć się powodów, dla których drobni rolnicy nie garną się do szkół ludowych rolniczych tak, jakbyśmy tego pragnęli. Szkoła jest dla wielu za kosztowna. W domu dziecko zarabia na swe utrzymanie, w szkole trzeba za nie płacić. Korzyści zawodowe, które szkoła daje, szczególnie mężczyznom, nie uwidoczniają się tak prędko. Wprowadzenie pożytecznych reform w gospodarstwie rolniczym wymaga wielu zasadniczych innowacji, na które ojciec się nie godzi, obawiając się ryzyka”.

Nie było w rolniczym społeczeństwie polskim sprzyjającej atmosfery na właściwe postawienie zagadnienia szkół rolniczych, w której absolwenci tych szkół mogliby wzrastać i skutecznie realizować zdobyte wiadomości. Owszem, była atmosfera zacofania, wsteczności, a tej nie przeciwstawiały się żadne czynniki odgórnie. Tolerowały żółwie dreptanie, choć to się mściło na gospodarce państwa.

W przemyśle istniał dodatek od podatku, przeznaczany na szkolnictwo zawodowe przemysłowe. W resorcie rolnictwa nie pokuszono się na to, bo obciążałoby się w ten sposób większą własność, a ta z kolei nie chciała przykładać ręki do kształcenia chłopów, któremu do wegetacji wystarczyły te ogólne „wiadomości”, jakie zdobył w jednoklasowej szkole powszechnej i fachowe, jakich mu udzielił nieświadomy ojciec.

Błędem przedwojennych szkół było i to, że po ich skończeniu absolwent mógł iść za ledwie na pisarza do dworu, lub „gospodarzyć” u ojca. Nie otwierały one szerszych możliwości dla swoich wychowanków, co tak wyraźnie postawiło i już w części osiąga powojenne szkolnictwo rolnicze.

W roku 1944 było na oswojonym terytorium Polski 319 szkół rolniczych, a już w 1945 — 800. W szkołach tych uczy się ponad 24.300 uczniów, pracuje w nich 4.500 nauczycieli i instruktorów rolniczych.

Jest to niewątpliwie pokazywany dorobek Ministerstwa Rolnictwa i Ref. Roln. Departamentu Oświaty Rolniczej.

Oprócz przygotowania fachowych rolników dla własnych gospodarstw, dzisiejsze szkoły rolnicze kształcą przyszłych nauczycieli i instruktorów szkół rolniczych, pracowników agronomii społecznej i kierowników do wszystkich działów gospodarczych w Związkach Samopomocy Chłopskiej, spółdzielczości i to nie tylko na wsi, ale i w mieście, nie mówiąc już o tym, że każdy uczeń szkoły rolniczej ma otwartą drogę do studiów wyższych, a więc i stanowisk dla kwalifikacji na tej drodze osiągniętych.

Szkoly rolnicze powojennej doby stają na równi z innymi szkołami zawodowymi, szkolącymi pracowników do pokrewnych resortów gospodarczych, nie zaniedbując równocześnie kształcenia ogólnego i obywatelskiego.

Na małą frekwencję szkoły rolnicze narzekają w dalszym ciągu, ale przyczyna tego leży w bezrozumnej negacji do wszystkiego co postępowe i twórcze. Chłop dzisiejszy również jak i przed wojną nieufnie podchodzi do fachowych zdobywców syna czy córki, wychowanków szkoły rolniczej, wierząc bardziej w zrutynizowaną i dalece zacofaną własną umiejętność gospodarzenia.

Usilne zabiegi o zmianę tego stanu rzeczy tu i ówdzie dają pewne rezultaty,

ale tempo tych zmian jest niezmiernie powolne i rozłożone na szereg lat.

Poważną trudność w organizacji gospodarki w szkołach rolniczych stanowi olbrzymia dewastacja ośrodków szkolnych, spowodowana działaniami wojennymi. Zniszczenia te wymagają wielkich nakładów finansowych, co z kolei pochłania niewspółmierne wydatki i nie pozwalała uczynić ośrodki szkolne dochodowymi.

W tym stanie rzeczy szkoły rolnicze niepokoją sfery rządowe, które chciałyby widzieć je samowystarczalnymi. Część szkół wyraźnie tę samodzielność gospodarczą już uzyskała i przy niewielkiej bodaj pomocy finansowej rządu zdolne będą funkcjonować należycie. W całości jednak stan ten szkoły rolnicze osiągnąć mogą dopiero za lat parę. Taki czas winno się im zostawić.

Te oto powody składają się między innymi również na małą frekwencję w szkołach rolniczych i gdybyśmy mieli więcej czasu w Polsce na oczekiwanie zmiany tego stanu rzeczy, pozwolilibyśmy na powolne docieranie do świadomości środowisk wiejskich wartości rolniczo-fachowych. Ale czekać nam nie wolno. Nie możemy.

Jakąż więc znaleźć na to radę, aby upowszechnić oświatę rolniczą i aby wieś zasiłiła należycie przygotowanym elementem zawodowo-rolniczym?

W cytowanym powyżej artykule prof. Mikułowski-Pomorski podkreślając bardzo mocno „olbrzymie potrzeby wsi, wielką liczbę jednostek, do których oświata rolnicza powinna docierać” wysuwa m. in. następujący postulat: „Danie oświaty rolniczej pozaszkolnej takich podstaw ustrojowych, aby mogła działać planowo, w kontrolę osiągniętych wyników” (podkreślenie moje).

Prof. Mikułowski bardzo wyraźnie sugeruje tu myśl ujęcia pracy upowszechnienia oświaty rolniczej w ramy ustawowe, aby mogła działać planowo i skutecznie.

Dziwne, że mimo tych, a pewnie i wielu innych głosów, tak uparcie pozostawiano wieś w zapomnieniu?

W ustawodawstwie w tej dziedzinie zrobiono w okresie międzywojennym dwa kroki. Jedną z dnia 9 lipca 1920 roku, mocą której każdy powiat zobowiązany został zorganizować na swoim terenie jedną szkołę męską i jedną żeńską. Miało to dać w sumie 500 szkół, a było ich 183 za ledwie.

Druga ustawa z dnia 11 marca 1932 roku o ustroju szkolnictwa obejmowała szkolnictwo zawodowe, które miało „za zadanie przygotować wykwalifikowanych zawodowo pracowników dla życia gospodarczego przez teoretyczne i praktyczne kształcenie zawodowe z uwzględnieniem potrzebnego zakresu wykształcenia ogólnego oraz przez wychowanie społeczno-obywatelskie” (§ 24). Ustawa ta w odniesieniu do szkół rolniczych nie wniosła, niestety, nic nowego. Nie wpłynęła ona na ich wzrost, ani ustrój. Wniosła natomiast bardzo ciekawy system kształcenia zawodowego przez tzw. szkoły dokształcające: mówi o tym (§ 15) w następującym ujęciu:

1) Młodzież, która wypełni obowiązek szkolny, a nie uczęszcza do żadnej szkoły, podlega do 18 roku życia włącznie obowiązkowemu dokształcaniu.

2) Zadaniem dokształcania jest pogłębienie indywidualnego i społeczno-obywatelskiego wychowania młodzieży, oraz rozszerzenie ogólnego wykształcenia do potrzeb życia gospodarczego i zawodów, w których młodzież pracuje.

3) Dokształcanie odbywa się bądź w szkołach i na kursach dokształcających ogólnych, bądź w szkołach dokształcających zawodowych.

Ten punkt ustawy dawał poważne możliwości dokształcania zawodowego młodzieży i szerokie rzesze młodych uczniów rzemieślniczych skorzystały z tego, zdobywając w szkołach dokształcających „niezbędne wia-

domości zawodowe, teoretyczne i pogłębianie wykształcenia praktycznego otrzymywanego w warsztacie pracy zarobkowej”.

Ale, niestety — wieś pozostawiono nadal w stanie bez ruchu, wyczekiwania.

Obowiązek dokształcania zawodowego na młodzież rolniczą, wiejską, nie rozciągnięto, wyrządzając wsi w ten sposób po raz nie wiem już który wyraźną krzywdę. Sprawa pozostała nadal otwartą.

A wieś dziś musi się podnieść gospodarczo. Na pola mają wyjść traktory i rola winna być obsiana wysoce dochodowymi roślinami, maszyny stać się codziennym pomocnikiem rolnika. Elektryczność użyta do ułatwienia wielu prac na wsi. Książka, gazeta, radio, dyskusje w gronie świetlicowym, sport, przysposobienie wojskowe — oto pole szerokiego działania dla wyrobienia zawodowego i społeczno-obywatelskiego.

Jak do tego dojść? Jakimi drogami? Czy jedynie przez szkoły rolnicze? Należałoby znaleźć inny, bardziej skuteczny sposób umasowienia, upowszechnienia tych niezbędnych żywotnych hasel i zadań, przed którymi stoi dzisiejsze rolnicze społeczeństwo wsi.

Wysuwają niektórzy powątpiewanie, że przez masowe szkolenie spłyci się wiedzę rolniczą w wielu dziedzinach. Przypuśćmy, że tak. Ale jakie były dzieje uczniów ze Szkół Rolniczych? Uczniowie opuszczający szkoły rolnicze napotykali na opór ze strony nieświadomego tych spraw i zagadnień społeczeństwa. Czas jakiś jeszcze starali się zwalczać zacofanie i prymitywizm w gospodarstwach rodzicielskich i sąsiadów, ale po pewnym czasie, nie widząc rezultatów swej pracy zniechęcali się, załamywali, wpadali nieraz do powrotny analfabetyzm zawodowy i rezultaty ich pracy były minimalne, a nawet żadne.

Zupełnie inaczej przedstawiać się będzie ich akcja w atmosferze sprzyjającej dla rozwinięcia i zrozumienia potrzeb nauki rolnictwa, co ma miejsce właśnie w środowisku, gdzie zagadnieniami oświaty interesują się wszyscy, gdzie zadania stawiane rolnictwu są przepracowane przez większe zespoły ludzi światłych i wtedy każda, nawet rewolucyjna inicjatywa spotka się ze zrozumieniem, osądem należyтым i fachowym i znajdzie takie czy inne w danym środowisku nastawienie.

Absolwenci szkół rolniczych, a nawet i innych szkół, instruktorzy rolni, nauczyciele, wtedy dopiero w pełni mogą być wykorzystani, kiedy otoczenie docenia należyście współpracę czynnika zawodowo kwalifikowanego, wspomaga inicjatywę przez niego zamierzenia, przyczynia się do mocnego ich zakorzenienia się w środowisku i rokuje pozytywne osiągnięcia ku pożytkowi osobistemu i otoczenia.

Te względy m. in. skłoniły Ministra Dąb-Kocię do podjęcia szerokich zamierzeń w kierunku upowszechnienia oświaty rolniczej i za podstawę wyjściową przyjęcia zespołów przysposobienia rolniczego.

Zrozumiałą jest rzeczą, że prócz wyrobienia rolniczo-fachowego rolnik polski musi być uspołeczniony, musi rozumieć wagę i korzyści działania zbiorowego, grupowego, spółdzielczego. Musi w sobie rozwinąć te dyspozycje, na których oprze się jego czynna postawa do współczesnej rzeczywistości polskiej, do przeprowadzonych reform społecznych, gospodarczych i politycznych, musi wyrobić w sobie zrozumienie ich znaczenia dla utrwalenia naszej niepodległości i siły materialnej.

Z tych trosk o dobro wsi i młodzieży wiejskiej zrodziła się potrzeba powołania do życia w środowiskach wiejskich zespołów przysposobienia rolniczego i przysposobienia wojskowego — zarówno chłopców, jak i dziewcząt od lat 16.

Przysposobienie rolniczo-wojskowe opiera się o artykuł 15 ustawy z dnia 11 marca 1932 roku o ustroju szkolnictwa (Dz. U. R. P. Nr 38 poz. 389) oraz dekret z dnia 16 stycznia 1946 roku o powszechnym obowiązku wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego (Dz. U. R. P. Nr 31 poz. 195). Zarządzenie Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych oraz Ministra Obrony Narodowej z dnia 14 marca 1947 roku w sprawie powołania organów przysposobienia rolniczego i wojskowego młodzieży wiejskiej brzmi:

§ 1. Celem upowszechnienia i usprawnienia przysposobienia rolniczego oraz wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego młodzieży wiejskiej, łączy się te akcje i wprowadza się powszechne przysposobienie rolnicze i wojskowe (w skrócie P. R. W.) dla młodzieży wiejskiej obojga płci od lat 16.

Zadaniem przysposobienia rolniczego i wojskowego jest:

- a) podniesienie poziomu gospodarczego wsi przez powszechne kształcenie zawodowe młodzieży wiejskiej;
- b) wychowanie fizyczne i przysposobienie wojskowe młodzieży wiejskiej, a także zapewnienie wychowania społeczno-obywatelskiego tej młodzieży dla wyszkolenia przyszłego wzorowego żołnierza demokracji.

§ 2. W zarządzie centralnym Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych tworzy się dla spraw przysposobienia rolniczego i wojskowego młodzieży wiejskiej Wydział Przysposobienia Rolniczego i Wojskowego (P. R. W.).

Na czele Wydziału P. R. W. stoi Naczelnik Wydziału, oraz jego zastępca Główny Inspektor P. R. W., powołany przez Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych w porozumieniu z Ministrem Obrony Narodowej.

Jak wynika z przytoczonego powyżej fragmentu zarządzenia do spraw szkoleniowych młodzieży wiejskiej zorganizowanej w PRW prócz czynnika rolniczego staje wojsko, niosąc młodzieży swoją wiedzę w odniesieniu do spraw przysposobienia fizycznego, wojskowego i społeczno-obywatelskiego.

Młodzież chłopska ma świeżą, żywą i mocną tradycję udziału w walce z okupantem — w Batalionach Chłopskich, w Armii Ludowej i Armii Krajowej. Tej tradycji wojskowej nie można marnować. Ma ona prawo do włączenia się w Wojsko Polskie i w jego bieżącym, nieprzerwanym życiu budować dalszy swój ciąg, nowe dzieje.

Okupant wywołał powszechną mobilizację młodego pokolenia chłopskiego do walki o wolność ojczyzny. Dziś idzie o jej byt, o awans materialny i społeczny warstwy chłopskiej, ważny nie mniej dla Polski Ludowej, niż dla rozwoju wsi. Raz zbudowane pogotowie sił młodzieży może i powinno być utrzymane w okresie odbudowy i przebudowy Polski.

Wojsko Polskie tworzy nową tradycję. Znamy ją od pierwszych dni niepodległości, zna ją w pierwszym rzędzie wieś. W miejsce starych przedwrześniowych „pacyfikacji” — masowa robota w polu. Udział wojska w zasiewach i żniwach stanowi jeden z większych rozdziałów walki o chleb w Polsce pierwszych lat powojennych. Taki powrót wojska, złożonego w większości z synów chłopskich, na wieś ma nowy sens społeczny. Poborowi przed wojną osiągnęli „ogładę”, która ich czyniła nie postępowymi chłopami, a „wysferzeźcami”, z najgorszej strony prezentującymi wartości miasta i kultury narodowej na wsi. Równocześnie w stosunku do „panów” wzmacniała poczucie przedziału społecznego. Tu uzyskiwali pozycję „lubianych ordynansów”, na wsi — zarozumiałych arogantów. W nowym Wojsku Polskim poborowi mają wyrosnąć na działaczy społecznych, wsi potrzebnych. Wzmacnia się w nich poczucie godności i społecznej wartości; zastępy oficerów — chłopów i robotników tworzą nową atmosferę ich pewności i ważności.

ciąg dalszy na str. 2-giej

Wacław Szymanowski

Dla kogo wyższe studia? *)

JAK TO JEST W AMERYCE?

Omawiając sprawy szkolnictwa wyższego poza granicami Polski ograniczę się tylko do szkolnictwa w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Czynię to z tego powodu, że kraj ten znam najlepiej, spędziwszy tam na różnych stanowiskach z przerwami około 12 lat życia.

Jak wiadomo Ameryka Północna rozwijała się innymi drogami niż Europa. Jest to olbrzymi kontynent dziesiątki lat wolny od wojen, który powoli zdobywał rzesze energicznych emigrantów ze wszystkich krajów europejskich.

Rzesze te, które opuszczały Europę w różnych okresach jej historii, były rozczarowane resztkami feudalizmu europejskiego i jej konserwatywnym społecznym i obyczajowym. Wędrowali one za morze, aby szukać nowych dróg. Jeśli byli wśród tych emigrantów różni przestępcy i zbrodniarze, to nie stanowili oni wśród mas emigranckich tak wielkiej liczby, jak to się w Europie powszechnie sądziło. Byli to przeciętne ludzie w ogromnej większości szukający chleba, często wolności, a nawet nowych form życia zbiorowego.

Młody kapitalizm, który się tam rozwijał, miał początkowo zupełnie inny charakter od europejskiego i dopiero w ostatnich dziesiątkach lat do niego się upodobnił. Rzecz prosta, że sposób powstawania inteligencji był odmienny od sposobu powstawania tej warstwy w Europie, a w szczególności w Polsce.

W Ameryce inteligencja z małymi wyjątkami tworzyła się i jeszcze dzisiaj się wytwarza z dołów społeczeństwa i swoich więzów z tymi dolami nie traci. Prawda, że na szkolnictwo od razu wywarł swoje piętno rozwijający się kapitalizm, zużywając je przede wszystkim dla swoich praktycznych potrzeb. Ale ten kapitalizm, który sam był z dolami związany, rozumiał także pewne minimalne potrzeby wykształcenia mas i z własnego interesu nie przeciwił się temu wykształceniu. Stąd w Ameryce powstał dosyć oryginalny system szkolny, niby to wzorowany na angielskim, ale bez brytyjskich elitarnych ograniczeń, szczególnie w szkołach wyższych. Rozumiano powszechnie, że aby móc wydajnie pracować w rozwijającym się przemyśle, każdy obywatel musi mieć pewne minimum wiadomości, jak to: czytania i pisanie, trochę wiadomości z historii i geografii, trochę z przyrody, matematyki i z języków obcych i nieobowiązkowo z łaciny i greckiego. I tak powstała ogromna sieć szkół powszechnych i średnich o poziomie o wiele niższym, niż ich odpowiedniki europejskie.

Zało wykształcenie w tych szkołach było i jest masowe i dzisiaj rzeczywiście trudno jest spotkać Amerykanina, szczególnie z młodszego pokolenia, nawet najbiedniejszego, który by przynajmniej w dużym stopniu, do tych szkół nie uczęszczał. Przy obecnej wielkiej konkurencji na rynku pracy, nawet na przykład takie posady, jak pracowników w sklepach są dzisiaj ob-

sadzane tylko absolwentami szkół conajmniej średnich.

Wykształceniem zawodowym wyższym zajmują się uniwersytety lub specjalne politechniki, tak zwane instytuty technologiczne. Ale i tu wykształcenie jest praktyczne wielostopniowe i w ten sposób przystosowane do potrzeb życia codziennego przeciętnego obywatela. Młodzież przychodząca z bardzo słabym przygotowaniem ze szkoły średniej (z pewnością niższym od naszego kursu zerowego) odrabia w pierwszym roku zaległości i po jednym lub dwóch latach przygotowawczych studiów zaczyna się specjalizować w obranym kierunku. Specjalizacja trwa dwa do trzech lat, po których student uzyskuje swój pierwszy stopień naukowy — bakalarski. Już z tym stopniem może on iść w życie praktyczne, zacząć regularnie zarabiać i nawet, jeśli zechce, w ogóle na tym poprzestać.

Ludzie o tym stopniu wykształcenia pełnią niższe funkcje inżynierskie, pedagogiczne lub inne nie wymagające zbytniego balastu naukowego. Podkreślić także należy, że przez cały ciąg tych czterech lat, tak zwanego kolegium, studenci są poddani ścisłej dyscyplinie szkolnej i ustawicznemu egzaminom kontrolującym ich postępy nieomal z miesiąca na miesiąc, przyczem następuje nieublagane przesiewanie mniej zdolnych i pilnych. Jednakże, każdy ma otwartą możliwość dalszego kształcenia się, zarabiając na życie jednocześnie, jeśli tylko wykáže odpowiednie zdolności. Liczne kursa wieczorne i dzienne a nawet wakacyjne pozwalają w ciągu dodatkowego roku lub dwóch i po napisaniu samodzielnie odpowiedniej pracy oraz złożeniu dalszych egzaminów, uzyskać stopień magistra, który mniej więcej poziomem swoim naukowym odpowiada naszemu magisterium lub ukończeniu politechniki.

Stopień ten podaje już prawa do znacznie poważniejszych kierowniczych stanowisk w przemyśle, lub mniejszych stanowisk uniwersyteckich, ale dopiero doktorat uzyskiwany po trzech latach studiów po magisterium, po napisaniu poważniejszej pracy, oraz złożeniu egzaminów na najwyższym poziomie daje prawa do kierowniczego stanowiska w przemyśle, lub profesorskiego i naukowego na uniwersytetach. Egzaminy na wszystkich stopniach są bardzo ostre, gdyż kapitaliści amerykańscy, którzy mają dokładny wgląd do programów uniwersyteckich, przez swoich przedstawicieli zasiadających w radach zarządzających szkołami wyższymi, nie mogą pozwolić choćby ze względów konkurencyjnych na szkolenie niedouczonej specjalistów, którzy przeciętnej będą kierować ich przedsiębiorstwami.

Za to inne przedmioty nie związane ze specjalnością studenta, są traktowane zupełnie po macoszemu. Np. przedmioty humanistyczne, tak u nas wysoko cenione, często nawet z wielką szkodą dla nauk matematyczno-przyrodniczych i technicznych, są tam postawione wysoko tylko w

niektórych stosunkowo centrach uniwersyteckich, o starej tradycji kulturalnej i są przez całe społeczeństwo traktowane raczej jako luksus popierany przez humanitarnych milionerów.

Pomimo wszystkich wad tego systemu, widzimy, że jest on jednak wybitnie przystosowany do ogólnych potrzeb młodzieży amerykańskiej, która przez wielostopniowość studiów nie jest obciążona niepotrzebnym balastem naukowym, nie mając równocześnie zamkniętych dalszych możliwości kształcenia się.

Warto także podkreślić, że społeczeństwo amerykańskie, które jest z małymi tylko wyjątkami wybitnie utylitarne i w którym powodzenie finansowe jest miernikiem sukcesu życiowego, umie docenić wartość pomocy materialnej dla studiującej młodzieży. Student, jeśli nie może otrzymać jednego z licznych stypendiów będących do jego dyspozycji, ma możliwość przez wykonywanie różnych drobnych prac utrzymania się podczas studiów. Uniwersyteckie biura pośrednictwa pracy ułatwiają im znalezienie odpowiedniego zarobku, a przekonanie powszechne, że każda praca ma swoją wartość, nawet, najbardziej trywialna w europejskim pojęciu, daje większą możliwość łączenia studiów z pracą zarobkową, niż u nas, gdzie ciągle istnieje przepaść pomiędzy pracą umysłową i fizyczną.

NASZA RZECZYWISTOŚĆ OBECNA I WIDOKI NA RZYSZŁOŚĆ

Z zestawienia dróg rozwojowych inteligencji polskiej*) i amerykańskiej widzimy jak daleką jeszcze jest droga do urzeczywistnienia u nas upowszechnienia studiów wyższych. Trzeba będzie zwalczyć wiele przesądów i uprzedzeń, tak w starszym pokoleniu, jak i w młodzieży, będącej pod przemożnym wpływem starszych, zanim się ten cel osiągnie. A osiągnąć ten cel musimy, gdyż jedynie w ten sposób będziemy mogli zapełnić nie tylko luki wojenne w naszej inteligencji, lecz także odnowić ją przez dopływ świeżych umysłów spragnionych wiedzy i pracy umysłowej, a pochodzących z najszerzych warstw narodu. Wtedy dopiero będziemy mieć nie tylko drobną elitę umysłową, będącą jakąś egzotyczną rośliną na polu, na którym nic poza tym nie rośnie, ale społeczeństwem, w którym wszystkie zdolności będą możliwie wykorzystane dla ogólnego dobra.

Drogi prowadzące do urzeczywistnienia tego celu nie wiodą przez ślepe naśladowanie ani utylitarne systemu amerykańskiego tworzącego ciasnych specjalistów, bez żadnej ogólnej kultury, ani też przez naśladowanie jakiegokolwiek kraju europejskiego, którego psychologia jest inną od naszej, i którego drogi rozwojowe były także inne. My sami powinniśmy dojść do właściwego rozwiązania, przez uczciwą i szeroko zakrojoną dyskusję tak w kołach rządowych i uniwersyteckich, jak i w kołach samej młodzieży i rozwiązanie to, powinno przybrać konkretną formę w Usta-

wodawstwie Sejmowym. I właśnie dekret o tytule inżyniera, może być uważany za wejście na drogę upowszechnienia studiów wyższych*). Przez zmianę tytułu inżyniera z naukowego na czysto zawodowy, dekret ten stwierdza potrzebę wprowadzenia dwustopniowości w wykształceniu technicznym. Wydaje mi się, że ta dwustopniowość, zastosowana nie tylko do nauk technicznych, może służyć jednym z decydujących czynników upowszechnienia wyższych studiów przez dostosowanie ich do praktycznych potrzeb życia kraju i młodzieży i zdjęcie z tej młodzieży niepotrzebnego obciążenia. Należy przy tym zaznaczyć, że taki system nie obniży w niczym poziomu naukowego tych studentów, którzy się będą chcieli wyłącznie nauczyć.

Wprowadzenie dwustopniowości do studiów wyższych nie rozwiązuje jednak całkowicie zagadnienia ich upowszechnienia. Nie mamy niestety danych statystycznych z ostatniego dwulecia niepodległości, ale chociaż wiemy, że na niektórych uniwersytetach odsetek młodzieży biedniejszych grup społecznych zwiększył się wydatnie w stosunku do liczby przedwojennych, to na innych uczelniach stan ten nie zmienił się prawie zupełnie.

Już Falski w swojej pracy wspominał w roku 1937 o potrzebie „daleko idących środków wykraczających poza szkolnictwo wyższe” dla uzyskania tego celu. Jako jeden ze środków widzi Falski potrzebę „zorganizowania dostatecznej pomocy dla młodzieży zdolniejszej i dzielniejszej, której brak środków i warunki niepomysłne środowiska stają na przeszkodzie w kształceniu się”. Jako drugi środek widzi on „rozszerzenie obecnego zasięgu kształcenia i dokształcania młodzieży na wszystkich szczeblach i wyrównanie poziomu tego kształcenia”.

Oba te środki są także dzisiaj aktualne i Polska Ludowa może je stosować przez co raz bardziej zwiększając się pomoc stypendialną, tworzenie burs i domów akademickich itd. oraz reformę samego szkolnictwa.

Akcja ta jednak wymaga czasu nie tylko ze względów organizacyjnych, ale i finansowych, gdyż hierarchia potrzeb związana z planem trzyletnim będzie zwalniać większe sumy finansowe potrzebne na ten cel tylko w bardzo wolnym tempie. A tymczasem pęd młodzieży do wyższych uczelni jest ogromny i pomimo ich większej ilości niż przed wojną, są one przeciążone w takim stopniu, że muszą wprowadzać wstępne egzamina konkursowe ze względu na brak miejsc.

I tu istnieje poważne niebezpieczeństwo, że jeśli młodzież będzie przyjmowana na wyższe uczelnie tylko na zasadzie mechanicznej kwalifikacji wyniku egzaminów, to młodzież sfer biedniejszych, nie mająca takiej sposobności i możliwości przygotowania się, jaką ma młodzież zamożniejsza, będzie powoli znowu eliminowana i że wszystko może powrócić nawet do stanu podobnego, jaki mieliśmy przed wrześniem 1939 r.

Tego musimy za wszelką cenę uniknąć, nie tylko dlatego, że taki stan rzeczy nie byłby zgodny z kierunkiem rozwoju, który kraj nasz obrał, ale także dlatego, że byłoby to powtórzeniem niesprawiedliwości reżymu przedwrześniowego w stosunku do wielkich mas młodzieży zdolnych do nauki i chcących się uczyć.

Sprawiedliwe rozstrzygnięcie tego zagadnienia jest trudne, bo trzeba przy tym uniknąć obniżenia poziomu naukowego studiujących. Nie jest ono jednak niemożliwe. Może byłoby tutaj pomocą dla komisji kwalifikacyjnych delegacje ze samego społeczeństwa, znające lepiej środowisko społeczne kandydatów od profesorów będących w komisjach. W każdym razie cel upowszechnienia studiów wyższych jest tak doniosły, że warto rozpocząć poważną dyskusję nad tą sprawą i szukać koniecznego rozwiązania dla wszystkich zagadnień związanych z tym problemem i przyszłością tej najcenniejszej części społeczeństwa, jaką jest nasza młodzież.

*) Patrz Wacław Szymanowski: „Upowszechnienie wyższego szkolnictwa”, „Wiś” nr. 18.

Celem - postępowe środowisko rolnicze

dokończenie ze str. 1-ej

W okresie należenia do PRW młodzież będzie mogła nie tylko zdobyć fachowe wiadomości z dziedziny rolnictwa pogłębiając je wiadomościami ogólnymi, ale posiadać sprawność i znajomość zagadnień wojskowych w takim stopniu, że po przejściu trzeciego stopnia PRW młodzieniec może być nawet zwolniony od obowiązku służby wojskowej, bo wszystkie niezbędne wiadomości, jakie musi posiadać żołnierz zdobędzie w PRW, nie wyjeżdżając ze wsi, nie odrywając się od rodziny, gospodarstwa i miejscowego środowiska społecznego. Dziewczeta będą się szkoliły w sanitarności, łączności, w służbie administracyjno-gospodarczej itp.

Dodać jeszcze trzeba, że w zespołach PRW dużą uwagę, zwraca się na prace kulturalne — książka, odczyt, pogadanka z dyskusją, radio, teatr, śpiew, muzyka.

W tak ujętym planie działania, przy użyciu w pracy organizacyjnej nauczycieli i instruktorów szkół rolniczych, instr. Związku Samopomocy Chłopskiej zamierza się w bieżącym okresie wiosny, lata i początków jesieni przeprowadzić przez zespoły PRW do 300.000 młodzieży obojga płci.

Piotr Greniuk

Anna Kamińska

BIBLIOTEKA

Dziś pułap strychu, gdzie książki mi mokły pod oknem o światła biblioteki się oparł.

Bo kiedy zamknę tu oczy, spada u nas rzęsisty deszcz i śmi słomiane gwiazdy.

Umartych rąk babki gest ożywa podnoszący modlitwy z dalekiej drukarni chrzęstu.

I rośnie mi ojca stół po obiedzie starty porządnie z barszczu, z chleba okruszyn.

Jak dziecko, gdy samolot zobaczy w górze i palem ściga niebo ku źrenicy —

Wołam książki, odwijam z zapoźnionych gazet, z nieuprzejmych kurzów biblioteki.

Jak mało mnie wspiera zatopionego w szeleście: głos nauczyciela, gdy mówi,

A w izbie zimnej mróz pisze na szkle i w narożnej desce pracowity chroboce robak.

Kiedy tak myślę, że nie pragniesz mieszkać, żono, w bibliotece z marmuru

I że dzieci inny może zbudują dom naszym myśłem — cierpię i kocham goręcej.

Zygmunt Stolarski

O NOWĄ POSTAWĘ

(Po zjeździe ideologicznym Stowarzyszenia Akademików Woj. Kieleckiego)

ZIEMIA OWOCOWAŁA ZGLISZCZAMI

Ciekawy turysta, który chciałby dziś wspiąć się na Miedzianą Górę, musi u jej łop napaść oczy niespodziewanym widokiem. Koło spalonego gospodarstwa stoi pogruchotany czołg a u lufy jego przekrzywionego działa zawieszona chłopska chusta kolebie na wietrze spiące dziecko. Widok taki nie jest w programie tego, co wyczytawszy uprzednio w monografii Kieleccyzny chce ujrzeć na Miedzianej Górze ciekawy turysta. Widok ten jednak skłania do refleksji i nie jest ostatnim z tych wszystkich obrazów, które ludzom odwiedzającym ziemię kielecką tworzą nową skrótową jej wizję.



Las jodłowo-bukowy na Łysicy.

Przed wojną utrwalala się pamięć o Kieleccyznie jako o ziemi barwnego krajobrazu, lasów jodłowych, kolebce Reja, Kochanowskiego, Zeromskiego, Dygasińskiego, Langiewicza, Staszica. Dziś trudno odtworzyć tę konwencjonalną, estetyczną wizję. Dziś na plan pierwszy wysuwają się nowe elementy, wyznaczające zupełnie inną problematykę.

Od dnia wybuchu wojny polsko-niemieckiej do dnia wyzwolenia ziemia ta owocowała zgliszczami. Gospodarstw zniszczonych całkowicie 60.000, częściowo 20.000. Powiaty: stopnicki, sandomierski, kozienicki i opatowski zniszczone w około 70 proc. (34.890 gospodarstw zniszczonych całkowicie, 18.300 częściowo). Drogi — te liche, nieliczne drogi w województwie zniszczone przeciętnie w 60 proc. (gminne 60 proc., powiatowe 80 proc., wojewódzkie 50 proc., państwowe od 10 do 90 proc.), 3.640 m. zniszczonych mostów żelaznych i żelazo-betonowych. Inwentarz żywy wytrzebiony do tego stopnia, że we wsiach o liczbie 2.000 mieszkańców pozostało 5—6 koni. Ludzi bez dachu 300.000, 230.000 zginęło, 12.000 odniosło uszkodzenia ciała lub zdrowia. Straty materialne na terenie województwa sięgają 3.000.000.000 złotych według cen z roku 1939.

Turyście — estecie ziemia kielecka zapelnia się widmami a widok dziecka śpiącego u lufy czołgu urasta do symbolu. Postawmy się w jego sytuacji. Chyba nie zechce wspinać się na szczyt Miedzianej Góry. Odbieranie wrażeń estetycznych wymaga wszak pewnej równowagi ducha...

BRACTWO SZPAKÓW I BURSZÓW KIELECKICH

W lutym 1945 roku, w pierwszych dniach wolności, szła po Kielcach wieść o mającym tam powstać uniwersytecie. Przypuszczano nawet, że będzie się on mieścić w dawnym domu W.F. i P.W. W oczekiwaniu na własną uczelnię zaczęła się młodzież tymczasem zgłaszać na wykłady prowizorycznych Kieleckich Kursów Akademickich, prowadzone przez kilku profesorów, których losy wojny tu zagnały. Wkrótce okazało się, że uniwersytetu w Kielcach nie będzie. Młodzież z województwa rozjechała się po całej Polsce, a w październiku 1946 roku powstało Stowarzyszenie Akademików Ziemi Kieleckiej; nazwę, która sugerowała regionalistyczny charakter organizacji, zmieniono wkrótce na „Stowarzyszenie Akademików Województwa Kieleckiego”. Liczy ono dziś blisko 5.000 członków — najliczniej reprezentowane jest Częstochowskie (1.200), dalej Radomskie i Kieleckie.

Jest to więc organizacja młoda i o wartości jej można będzie coś powiedzieć dopiero po paru latach. Tymczasem warto przypomnieć jej członkom tradycje akademików tych okolic.

W „Pamiętniku Świętokrzyskim” wydanym w roku 1930 napotykamy na dość obszerną monografię „Bractwa szpaków i burszów kieleckich”^{*)}. Akademik Dobrosław Kalinowski wydalony z Uniwersytetu Warszawskiego zakłada w Kielcach w roku 1821 oddział istniejącego w Warszawie tajnego stowarzyszenia „Bractwa Burszów Polskich”. Członkami stają się uczniowie kieleckiej Akademii

^{*)} St. hr. Małachowski-Lempicki: „Związek tajny w Świętokrzyskim”, cz. II.

Górnicej założonej przez Stanisława Staszica. Bractwo miało krótki żywot. Już pod koniec 1822 roku carski sąd policyjny poprawczej obwodowej jędrzejowskiej wnosi o śledztwo w sprawie stowarzyszenia. Dokumenty ze śledztwa pozwalają się zorientować, jaki był cel istnienia Bractwa.

Cytuje: „W opinii kwalifikacyjnej ukończonego śledztwa czytamy, iż „Cel Bractwa tego był naukowy i wspieranie jeden drugiego już w naukowociach, już w zasiłkach pieniężnych — możniejszych uboższym” a czasem, gdy grosz pozwolił „niewinna zabawa przy piwku i lulce”. Zgodnie z art. 6 Konstytucji Bractwo miało swoją kasę. W Kielcach była ona bardzo szczupła i wystarczała zaledwie na gazety, piwo, tytoń itd. ...Gutt zeznał: „Czasem ze Szpaków niektórzy Burszem zostali, co raz na rok lub na dwa lata, byłym w Akademii akademistom tęga bibę sprawić był w stanie”.

Wystarczy tego, aby się przekonać, że wartość niektórych tradycji wygasa równocześnie z chwilą ich zarejestrowania. „Przy piwku i lulce” śpiewali burszowie patriotyczne pieśni:

„Jeśli więc jaki tyranie
Chcesz widzieć kraj nasz w ruinie —
Nie wrpódź twa wola się stanie
Aż już ostatni z nas zginie”

— nic jednak przez to tyranie nie ucierpieli. Tym bardziej, że śpiewano również: „Sam Noe dowiódł już tego dość”, „Pię w ręce twoje”, „Już za moja szklanke wziętem, vivat kompania”. Władze rosyjskie wydały Bractwu po śledztwie opinie bardzo przychylną i choć zebrania zostały zabronione, nikt ze związkowców nie został ukarany. W istocie zabawy i towarzysko-elitarny charakter Bractwa wykluczał wszelką poważniejszą pracę czy to konspiracyjną, czy nawet samopomocową.

Pamiętajmy, że jest to pierwsza połowa XIX wieku, kiedy możliwość uczestniczenia w wyższych studiów uwarunkowana jest wysoką pozycją materialną a w związku z tym i socjalną. „Konstytucja” Burszów naspikowana przepisami honorowymi, instrukcjami o pojedynkach („tylko na palasze”, „rabanie się ze wszystkimi sędziami” jako jedyny protest przeciwko wyrokowi sądu koleżeńskiego), jest wierną kontynuacją szlacheckiego stylu życia. Student ówczesny wkupywał się do Bractwa „tega bibą”, poza nauką spędzał czas „przy piwku i lulce”, pieśniami i składką opłacał w organizacji wewnętrznej potrzebę ideowości — i wracał do jednego z białych dworów kieleckich, „na wieś”. A tam — „kontakt z przyrodą — cytuję za „Ziemiąką Polską” — przywraca człowiekowi jego pierwotny, prostolinijny, spokojny światopogląd, wypaczony często i wytracony z równowagi”...

CZERWONI RADOMIACY

A tymczasem rosło nowe pokolenie studentów o światopoglądzie już nieco „niespokojnym”. Innym od poprzedniego uczyniły je zmiany, jakie w międzyczasie zachodziły w kraju.

W latach 30 — 40 zeszłego stulecia zwycięski na zachodzie postęp techniczny zaczyna przenikać do Królestwa. Na lata te przypada sprowadzenie maszyny parowej dla przemysłu włókienniczym w Łodzi, otwarcie pierwszej linii kolejowej warszawsko-wiedeńskiej, wzrost liczby miast (Warszawa liczy ponad 100.000 mieszkańców), wzrost produkcji przemysłowej (wartość fabrycznej produkcji Łodzi przekracza 1.000.000 rubli), eksport zboża z Królestwa do Anglii powoduje polepszenie koniunktury gospodarczej, rusza hutnictwo w Zagłębiu Dąbrowskim. Konflikty klasowe nabierają ostrości, bezrolni chłopcy mnożą szeregi proletariatu miejskiego.

I szkolnictwo ma charakter klasowy. Minister oświaty hr. Uwarow pisze w sprawozdaniu za lata 1833—43 (powtarzam za J. Kottm: „Kapitały i folwark”, Kuźnica nr 82 og. zb.): „Dla stanu kupieckiego, mieszczańskiego, a wedle możliwości i samych właścicieli otwarte są przyzwoite drogi do edukacji stosownej do ich potrzeb, trybu życia i położenia w państwie”.

W istocie „włóścianie” na uczelniach to jeszcze sprawa przyszłości. Do głosu na razie dochodzi młodzież przede wszystkim pochodzenia mieszczańskiego. Niespokojny rok 1848 przynosi dojrzalszy owoc „nieubłaganej krytyki wszystkiego, co istnieje” prowadzo-

nej przez Marxa i Engelsa w Niemczech, Francji, Belgii i Anglii — „Manifest komunistyczny”. Idee socjalizmu naukowego przejmują proletariat. Zapoznaje się z nimi i młodzież uniwersytecka.

I oto można Stowarzyszeniu Akademików Województwa Kieleckiego przypomnieć drugą tradycję.

W wydanej w r. 1925 książce J. Grabca p.t. „Czerwona Warszawa przed ćwierć wiekiem” napotykamy ciekawe rozdziały mówiące o żywym udziale grup studenckich w lewicowych organizacjach Uniwersytetu Warszawskiego. Wspomnienia Grabca mówią o grupie studentów z okręgu radomskiego, który dziś w Stowarzyszeniu uczestniczy pokaźną liczbą 900 studentów.

Autor tak charakteryzuje swą paczkę radomską w momencie wstępowania jej na uniwersytet: „Przybywaliśmy też do „budy” z jasno określonym programem działalności. Od lat już kilku ideowo związani z P.P.S. postanowiliśmy ideologię tej partii zaszczyć wśród młodzieży całego kraju, a przede wszystkim stworzyć organizację partyjną wśród młodzieży na uniwersytecie i w oczekiwanej od następnego roku politechnice Warszawskiej. Było to główną częścią i kośćcem całokształtu działalności, której program starannie przedyskutowaliśmy na zebraniach naszego „Koła” jeszcze w Radomiu i która miała stworzyć przełom w politycznym życiu młodzieży radykalnej”

Bardzo ciekawe są owe lata Polskiej Partii Socjalistycznej. „Zawracająca głowy powstaniem — jak ją określali ówczesni weterani ruchu — które, jeśli się uda, w co zresztą głupiec może wierzyć, to robotnikowi da co najwyżej w dodatku do polskiego burżuazji — polskiego oberpolicmajstra i polskich żandarmów” (Grabiec, op. cit.). Wszak głową jej i duszą był naówczas „Wiktor” — Józef Piłsudski, który później jakże gładko umiał zarzucić jej ideologię. Ba, „sam Dmowski” na zjeździe młodzieży w Warszawie w 1890 roku nie uchylał się od śpiewania „Czerwonego sztandaru”^{*)}. P.P.S. ówczesna miała w sobie więcej patriotyzmu, niż czystej ideologii socjalistycznej. Zjawisko zresztą zrozumiałe, jeśli weźmiemy pod uwagę ówczesne stosunki polityczne i ekonomiczne. Wszak był określa świadomość — jak twierdzi nauka socjalizmu — i trudno na tym przykładzie odmówić jej prawdy.

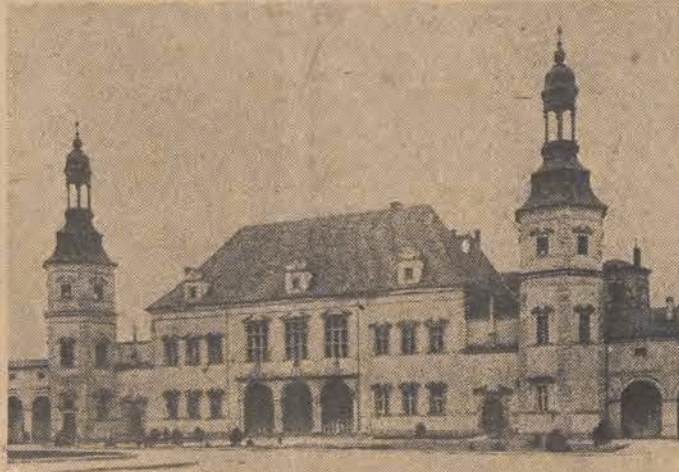
Student „paczki radomskiej” brał istotnie żywy udział w ruchu partyjnym. Często manifestacje, protesty, wiece, odczyty (zgodnie z garbarskimi tradycjami Radomia pośród czeladników rozmaitych rzemiosł raczej, niż wśród fabrycznych robotników) — to wszystko zajmowało im cały czas poza nauką.

W pracy tej możemy zaobserwować ciekawe zjawisko. Cała książka Grabca jest właściwie wspomnieniem o poszczególnych ludziach. Historia partii poprzez dzieje ich życia rysuje się nikiel i mgliście. Zabarwienia ideologii socjalistycznej, zmienne i czasem kontrastowo sprzeczne, były narzucane grupom przez silniejsze jednostki. Nieugruntowane jeszcze poczucie spójni społecznej i jedności grupy stworzyło typ człowieka — indywidualium, działacza — samotnika, dla którego organizacja jest jedynie tłem, odskocznią do jednostkowych działań. Praca społeczna polega na ideologicznym uświadomianiu innych i nie trzeba właściwie być studentem dobijającym się fachowości ani absolwentem uniwersytetu posiadającym określoną specjalność, by być społecznikiem tego typu. Działalność ludzi opisanych przez Grabca, nie ma silniejszej łączności ze studiami, nie angażuje ich przez wiedzę, a tylko przez przekonania.

ZEROMSZCZYŻNA

W sylwetce radykalnego działacza owych czasów można spostrzec niektóre rysy bohaterów Zeromskiego. Choć Grabiec na ogół odżegnuje się od „czułościwej, lryzującej cieleciny konspiracyjnej”, jaką prócz Zeromskiego odmalował Strug i Daniłowski, stwierdza jednak... „wszyscy bez wyjątku byliśmy owadnieci wszechwładnym w tych czasach, a tak pięknie wyidealizowanym w twórczości Zeromskiego „kategorycznym im-

^{*)} Napoleon Czarnocki: Przyczynki do historii P.P.S. Księga pamiątkowa P.P.S., str. 55.



Kielce. Zamek pobiskupi, siedziba Szkoły Akademickiej Górniczej. W skrzydle północnym odbywały się zebrania Burszów i Szpaków kieleckich. Obecnie mieści się Urząd wojewódzki.

peratywem” „walki z szatanem”. Sięgnijmy jeszcze do Grabca. Oto jak charakteryzuje on nastroje wśród swych towarzyszy: „Humor — często szubieniczny — ale zawsze szczerzy, i zapał, wiara w powodzenie sprawy, a kompletna pogarda wszelkiego osobistego niebezpieczeństwa panowały naszechwładnie. Aksjomatem dla każdego z nas było, że po dwóch, trzech latach pójdzie do ula, pojedzie na Jakuty, względnie zwieje — zagranicę”. Czy nie oddaje to tak charakterystycznego u bohaterów Zeromskiego: nie dbania o własne losy i tego przeczuwanego czy też nie przeczuwanego zięgo końca całej działalności?

Nienascy, Judymowie, Przeleccy — to więc nie tylko fikcje stworzone przez Zeromskiego. Sa oni wstyliżowanymi wyrazićkami tego życia i działalności społecznej, jakie wśród inteligentnych działaczy społecznych dominowały w Kongresówce na przełomie XIX i XX wieku. Sam pisarz zresztą był bardzo blisko ruchu. Pasterbica jego była „dromaderką” partii, roznosiła nielegalną bibulę, a on uczestniczył często w dyskusjach i zebraniach organizacji lewicowych.

Szczególnie w Kielcach silnie się przeżywa lcturę Zeromskiego. Tu gdzie nie pomija się żadnej okazji by się na jego pochodzenie z tej ziemi nie powołać, gdzie stoi stare gimnazjum z „Syzyfowych prac”, gdzie Karczówka, puszcza jodłowa, Wierna Rzeka, gdzie gęsto sterczą ruiny zamków — tragicznych zamków Zeromskiego.

I jeśli pod względem formalnym trudno by fikcją literacką zestawić z konkretnym działaniem konkretnych ludzi (choć u Zeromskiego, jak widać, stereotypowy bohater nie jest tylko fikcją), to bez wątpienia trzeba uznać fakt, że wpływ Zeromskiego na kształtowanie się postawy społecznej młodzieży był bardzo silny. Jest to wzór osobowości historyczny, ciążący na młodym pokoleniu, niezależnie czy zna ono Zeromskiego i czy myśląc podobie powołuje się na niego i jego bohaterów.

Nienaski, Judym, Przeleccy...^{*)}

Pierwszy — młody architekt świeżo po studiach otrzymawszy niewielki fundusz z nagrody konkursowej zabiera się do odbudowywania ruin ariańskiego zboru, aby stworzyć szkołę dla dzieci kolonistów i muzeum druków „traci polskich”. Gdy w trakcie roboty brakno pieniędzy, odczytami, namawianiem poruża snotobizm małomiasteczkowy, że nawet i panie znajdują w jego dążeniach „niejaki powab”. Na dążeniach jednak się kończy. Zwykła, stara prawda: „ofiarność publiczna skończyła się równie szybko jak zaczęła”.

Judym — młody lekarz, społecznik, tworzy wzorowe uzdrowisko Ciszów, wreszcie nie dokończywszy zaczętego dzieła rzucić je. Skazuje się na dobrowolną bezdomność ducha i ciała.

Przeleccy — przegrywa swą walkę o szkołę dla dzieci chłopskich.

Zdawało się czytając ich dzieła w gimnazjum, że to jakiś fatalizm rzuca ich w manowce starań ponad miarę i klęsk ponad miarę. Czyżby jednak fatalizm?

Bezsukcesność działania społecznego bohaterów Zeromskiego jest rozgrzeszona oporami, jakie napotykały w środowisku, lecz przede wszystkim jest zdeterminowana w samych założeniach. Na tle przeciętności, kulturowej i intelektualnej, do wspaniałej, wielkie dusze wypowiadające walkę niematerialnemu, metafizycznemu złu. Ważne jest dla nich samo działanie w dobrych intencjach. A działanie to, na odległy i niedosiężny cel nastawione, nie rozkłada się na szereg dostrzegalnych i możliwych do wykonania zadań — stąd dysproporcja między poświęceniem a jego skutkami. Oglądając nędzę miasteczek kieleckich „Nienaski nie mógł sobie z tym zjawiskiem dać rady. Im bardziej je zgłębiał, tym bezwzględniej był zrozpaczony. Była to noc, bajoro bez wyjścia, jakaś nieuleczalna choroba”. Oto typowy obraz moralisty na rozdrożu. „Złębienie” zjawiska — to analizowanie rzeczywistości sub specie aeternitatis, z zupełnym pominięciem historycznego stanu rzeczy, i historycznie możliwych i właściwych środków działania. Wniosek z takiego zgłębiania, to „bezwzględna rozpacz” lub „wojna wypowiedziana podłości”, wojna z punktu źle zaczęta. Drobną zdawałoby się zmiana poglądu na pochodzenie i właściwości zła nie pozwoliłaby moralistom na rozpacz.

PRZEMINĘŁY CZASY

W jakże innym, w jakże tragicznie innym świetle można dziś na terenie województwa kieleckiego oglądać typowe problemy Zeromskiego! Pokolenie, które w ostatnich latach przed minioną wojną na ławie gimnazjalnej „zgłębiało” problem bezdomności doktora Judyma, staje dziś oko w oko z problemem cięższym, tragiczniejszym — bezdomności 300.000 ludzi na terenie własnego województwa. Pokoleniu temu zło ukazuje się w jego najoczywistszej, materialnej postaci: zło 60.000 gospodarstw zniszczonych całkowicie, 230.000 ludzi poległych w bojach partyzanckich lub zezemczonych przez Niemców, obniżenia się wskutek zniszczeń zdolności zatrudnienia zakładów przemysłowych województwa — nielicznych przecięt — ze 150.000 robotników w 1939 r. do 45.000 obecnie.

Powstanie Stowarzyszenia Akademików Województwa Kieleckiego przypadło na histo-

^{*)} Streszczam tu fragment referatu J. A. Króla wygłoszony na zjeździe kwietniowym Akademików w Kielcach.

ryczne czasy zorganizowanej pracy i olbrzymiego wysiłku dla odbudowy. Fakt ten w dużej mierze określa cel dążeń Stowarzyszenia: ująć młodzież studiującą w organizację, która by jednocześnie pomagała materialnie w studiach i włączyła ściśle z województwem, nie przez kultywowanie jednak tradycyjnego, estetyzującego regionalizmu, lecz przez wskazywanie konkretnych ról do odegrania w terenie wiążących się ściśle z samymi studiami — jak np. praktyk w czasie ferii. Stowarzyszenie ma szansę z czasem stać się instytucją pośredniczącą między władzami wojewódzkimi, dysponującymi pracą dla absolwentów uniwersytetów a poszukującymi jej. Wszystko wskazuje na to, że byłaby to praca celowa, oparta już nie na jednostkowym działaniu, lecz na wykonywaniu funkcji w ramach przemysłowego planu, który prócz celowości pracy zapewni właściwe użycie ludzi do właściwych zadań.

Duże zapotrzebowanie na absolwentów szkół wyższych gwarantuje dokonywująca się już teraz odbudowa i przebudowa na terenie województwa. Siedem powiatów zostało objętych „akcją skoncetrowaną” — zakwalifikowano do odbudowy 8.700 budynków. Dotychczas odbudowano całkowicie 5.200 gospodarstw, wzniesiono na nowo 2.851 m. mostów, dla napotykalnej na duże trudności wobec

braku przejątu odbudowy dróg uruchomiono kredyt 282 milionów zł. Ożywia się dawny, z XVIII w. przemysłowy rejon itzecko-starchowicki. Już wszczęto budowę kolejki łączącej oba te miasta celem dowozu węgla do wapienników, rud do starchowickich zakładów i robotników z Powiśla. Przemysł starchowicki zwiększa o 2.000 zatrudnionych. Jest to kilka luźnych przykładów, może jednostronnie mówiących tylko o budownictwie przemysłowym, mieszkaniowym i komunikacyjnym. Z tych cyfr jednak można wywnioskować, że ożywić się mają wszystkie dziedziny życia w województwie. Na przykładzie choćby Jasienca — wsi leżącej w budującym się okręgu przemysłowym, w której akademicy spędzają wakacje — widać, w jak dużym stopniu korzysta z odbudowy zadowolona wieś*).

W tej nowej walce wypowiedzianej zlu historycznemu” dki sens istnienia Stowarzyszenia Akademików Województwa Kieleckiego: musi ono zająć postawę czynną wobec dokonywujących się przemian. Towarzystwo zabawowy charakter Bratwa Szpaków i Burzów wygasł wraz z .go epoką szlachecką; partynno-wyzwolencza działalność Radomiaków była właściwa również w określonych

*) Patrz „Mit parceli”, „Wieś” nr 96 og. zb.

warunkach minionych lat, wzór jednostkowego działacza—strażnika z ksiązek Zeromskiego do naśladowania dziś nie pobudza. Tymczasem nowa postawa, jak każda nowa, napotyka na opory.

Jeden z kolegów dowiedziawszy się, że mam zamiar pisać o studentach, prosił mnie żarliwie:

— Tylko nie krytykuj ich, nie zadrażniaj. Oni są tacy czuli na punkcie swej wartości, są wśród nich różne nurty, różne przekonania...

Jest to bardzo znamienne. Nie będę zadrażniał, nie miałem zamiaru. Chodzi mi tylko o to, by kolegom—studentom spojrzeć przekończenie o konieczności zmiany postawy w życiu organizacyjnym. Idzie bowiem fala krytyki z różnych stron, kierowana przeciw zastojowi społecznemu inteligentkich sfer studentckich. Idzie właśnie fala zadraźnień.

W 7-mym numerze „Wiciowej Wolnej Gromady” czytamy (z referatu wygłoszonego na ogólnokrajowej konferencji akademików—wiciarzy): „Na każdego indywidualnie, jak również na uczelniane koła wiciowe wpływa atmosfera ideologiczna całego środowiska akademickiego. Przybieramy pewien dystans i przyjrzymy się charakterowi tego środowiska.

Synów chłopkich, ni synów robotniczych nie ma na wyższych uczelniach tyle, ile być powinno w państwie postępowych reform społecznych i władzy ludowej. Przewagę mają jeszcze synowie warstw, mogących pozwolić sobie na „luksus” średniego i wyższego wykształcenia — warstw, na których opierał się stary reżim”.

Dał się stwierdza referent, że inteligentkie grupy studentów wpływają ujemnie na ideologiczną postawę młodzieży radykalnej... „O eliminację tych ludzi... przeprowadzić musimy walkę”.

Jest to bardzo jasne i jasne postawienie sprawy, głosy takie jednak zobowiązują do przemyślenia, we własnym interesie młodzieży akademickiej, który pokrywa się równocześnie z interesem chwili dziejowej.

Wielką rolę do spełnienia mieć będzie pismo Stowarzyszenia i ono jest powołane do wypracowania ideologii organizacji. Poza informowaniem o życiu na uczelniach i w terenie województwa winno ono drogą ankiet i konkursów zebrać bogaty materiał o pocho-dzeniu społecznym studentów, ich warunkach materialnych itd. Będzie to pierwszy i ważny dokument dla obiektywnych naukowych opracowań. Trzeba zwiazać te dwie rzeczy: nowy skład społeczny akademików i nowy rozdział historii Polski.

Zygmunt Stolarski

Jan Aleksander Król

„BYLE POLSKA WIEŚ SPOKOJNA...” (III)

1) „NIE BÓJ SIĘ GELDHABIE!”

W cyklu odczytów, wygłoszonych o Fredrze w r. 1876, hr. Tarnowski nazywa Jowińskiego „najmilszym w świecie starszkiem”, o Anieli ze „Słubów panienskich” mówi, że to „jedyn z najładniejszych i najwierniejszych typów polskiego dzweczenia”, a wszystkie postacie są „wiernymi a pięknymi typami natury tego narodu, do którego należą”. Boy-Zeleński pamięta „Słuby panienskie”, wystawiane w Krakowie około i po 1900 roku, „grane jeszcze niemal jako współczesną komedię... O stylu fredrowskim nie wiele rozprawiano wtedy, bo ten styl był jeszcze aktorem starszej szkoły czymś bardzo bliskim swą tradycją, w typach, w zacięciu, w traktowaniu wiersza”.

Komedie Aleksandra Fredry, świeżo upieczono go hrabiego, wznacniają w pierwszym połowie 19-go wieku tradycję stanu, to, co ks. Kalinka nazywał „perłą praw szlacheckich” i dla czego szlachta galicyjska po upadku Rzplitej — w jego oczach — była „daleko więcej sama narodem”. Ale obok rurskiej hr. Fredry stał wówczas industrialista i ekonomista, ks. Kalinka.

Z dwóch tradycji w r. 1876 pozostała już tylko jedna — fredrowska i ta panuje. Okazy szlacheckie z dworów to najwierniejsze i najpiękniejsze typy narodu polskiego. Niechby i tak było, ale jakkolwiek nie zawsze możemy się domyślać jak gospodarują i co robią bohaterowie komedii Fredry poza przyjęciami, mariażami, hipotekami i bliżej nie określonymi „dyrekturami” — wiadomo przecież, co robili ich potomkowie, słuchacze odczytów hr. Tarnowskiego.

W tymże samym roku 1876 budżet Sejmu Krajowego przewiduje na cele gospodarcze 100 tysięcy koron, na oświatę 550 tysięcy, a na reprezentację — 690 tys. kor., podczas kiedy postawienie średniej fabryki wymagało 100 tysięcznej inwestycji. Jeszcze po roku 1900 komedie Fredry grane są „jako współczesne komedie”. To też w Galicji w r. 1906 na przemysł, handel i rolnictwo idzie 5 mil. koron, na oświatę 12 mil., ale w Królestwie Czeskim na oświatę — 43 mil. koron, na politechnice praskiej i berneńskiej jest 3000 studentów, na uniwersytecie przeszło 5.000. W szkołach przemysłowych 55 tysięcy, w Galicji — 7 tysięcy. Analfabetów w Czechach — 4 proc., a w kraju „najmilszych na świecie starszków” — 41 proc.

W latach 1870—1878 Sejm nie wykazywał żadnego zainteresowania dla spraw agrarnych. Dopiero w r. 1890 powstanie Komisja dla spraw rolnych przy Wydziale Krajowym, gdzie na 11 członków, znajduje się jeden reprezentant „Kółek Rolniczych” i to nie zawsze chłop. O „najwierniejszych typach polskich” z tych lat rzeczywiście można pisać językiem Fredry: „Znaczenie dobra” — „spokojne posiadanie” — „Nie bój się Geldhabie! Nie bój się, dobrze będzie”.

W „Dożywociu” Fredry hreczkosieję mieli jeszcze troskli:

„Co się pytasz, wszystko drogo,
Tylko nasze zboże tanie”,
— ale pokolenie hr. Tarnowskiego żyje w nowym okresie, „System ochrony solidarnej, obciążający w Austrii surowce i pół-fabrykaty w interesie wielkich agrariuszy i karteli działał na szkodę Galicji, kraju wprawdzie o słabym rozwoju przemysłowym, lecz ludności gęstej, zainteresowanej w tanioci głównych środków konsumpcji i artykułów codziennej potrzeby” (Biegeleisen — „Stan ekonomiczny Małopolski” — 1921).

„Nie bój się Geldhabie! Nie bój się, dobrze będzie”.

2) NEDZA GALICYJSKA

A wieś przeżywa w latach 1875—1890 dra-gatyczny okres lichwy i wyzwania się z ziemi. Najtańsza włościańska stopa pożyczkowa równa się 30 proc. Placi się 2 centy od 1 zł. na tydzień. W Chranowickim od 10 zł. — 2 zł. na miesiąc, w Świątyńskim — 100 proc., ale grunt w zastaw, za 5 zł. — jeden zagon i 4 skiby, co się równało 10 zł. rocznego do-chodu.

*) Patrz „Mit parceli”, „Wieś” nr 17 i „Dro-ga do pół-kolonii”, „Wieś” nr 18.

„Podczas kiedy dawniej chłop winien był arendarzowi za wódkę a dziedzicowi za zboże, po latach 10 rozpoczęła się na dobre walka między wierzytciem lichwiarzem a drażni-kiem włościaninem o inwentarz i grunt” (Le-opold Caro — „Studia społeczne” 1908).

Ustawa o zniesieniu lichwy 1877 r. nie zmieniła tego stanu. Lichwiarze, aby nie brać małego procentu, nie kredytuują. Chłopi sami wówczas placą ponad normę. Ziemia znajduje się w ciągłym obrocie. Ktoś traci, ktoś doku-puje. Tradycja zagrody i stałego miejsca zamieszkania jest przywilejem 4 proc. w naj-lepszym razie — 15 proc.

Drobna własność chłopska stawia na hodo-wle, zboże kupuje. Uczestniczy w ten sposób w gospodarce towarowej i pieniężnej. Ale jest wciąż zadłużona i inwestycje są żadne albo z reguły niedostateczne. W latach 1890—1900 w porównaniu z Anglią, Belgią, Holandią, Niem-cami zbiór z 1 ha w Galicji — pszenicy, ży-ta, owsa — jest dwa razy mniejszy. (Buzek „Administracja gospodarstwa społecznego” Lwów—1913 r.). Na 1 km. kw. w r. 1910 w Niemczech wypada 120 mieszkańców, we Francji — 73, w Danii — 66, w Galicji — 102. A przecież kraj to nieuprzemysłowiony. Sa-mej ludności rolniczej jest w Galicji na 1 km. kw. — 78, podczas kiedy w Królestwie Kon-gresowym — 57, a w ks. Poznańskim — 39.

W r. 1900 wielka własność posiada 1/4 ob-szarów ornych, równa się to 1 milionowi ha. Polwarków (rodzin) 3423, (0,3 proc. posiadaj-ących ziemię). 3 miliony ziemi ornej w rękach chłopów, z tym, że 500 tysięcy rodzin ma po 1 ha, 360 tysięcy po 3 ha.

Zatem 860 tysięcy rodzin (86 proc. chłopów — ponad 5 milionów ludności) posiada półtora miliona ziemi ornej, od 1 do 3 ha.

W rachunku brak nam jeszcze półtora mil-iona ha. Zaczyna się tu arystokracja chłop-ska.

124 tysięcy rodzin (12 proc. chłopów) poni-żej 10 ha — 800.000 ha.

26 tysięcy rodzin (2,6 proc. chłopów) poni-żej 20 ha — 375.000 ha.

7 tysięcy rodzin (0,7 proc. chłopów) poniżej 100 ha — 350.000 ha.

Gospodarstwa do 5 mórg uzyskują z morgan (hodowla — 127, ziemniokody — 5) 132 korony przychodu. Wynosi to rocznie 850 koron. Gos-podarstwa od 10—20 m-g z morgan — 104 korony, rocznie — 2.000 koron. Tu różnica w ilości ziemi daje wyraźną różnicę w dochodach. Ale już w gospodarstwach powyżej 20 mórg, z morgan — 60 koron, tzn. przy 30 morgach rocz-nie — 1800 koron.

Oto obraz spotegowanej nędzy galicyjskiej. Mało, że przeciętna wydajność z hektara jest tu dwa razy niższa, niż w zachodniej Euro-pie, mało, że ziemiaństwo (0,3 proc.) trzyma 1/4 ziemi ornej i niszczy wieś całym i drogim zbożem, ale nadomiar złego w rękach nie cały 4 proc. chłopów znajduje się blisko mil-ion ha (1/4 całego obszaru ornego Galicji) z którego 3/10 jest całkowicie nie rentowne,

jakby ich nie było. Gospodarz na 30 morgach osiąga dochód ten sam co chłop na 20-tu, a równocześnie 5 milionów biedoty gnieździ się na półtora miliona ha, obok miliona zmarnowanej ziemi „włocian”.

Wstrząsający jest bilans handlowy Galicji, sporządzony przez dr. Rutkowskiego za lata 80-te. Oto głównejsze pozycje:

W y w ó z	
1) Bydło rogate	16 mil. koron
2) nierogaczna	29 " "
3) drzewo	15 " "
4) jaja	3 " "
5) masło	1,5 " "
6) nafta	5 " "
7) rzepak	1 " "
8) sól	2 " "
9) strączkowe	4 " "
	76,5 mil. koron

P r z y w ó z	
1) cukier	3,0 mil. koron
2) ryż	1,5 " "
3) wino	3,6 " "
4) kawa	2 " "
5) galanteria	8,5 " "
6) maszyny i części składowe	5,5 " "
7) skóry surowe i wypraw.	10 " "
8) szkło, porcelana	2 " "
9) tkaniny	48 " "
10) tłuszcz	1,5 " "
11) wełna	3 " "
12) węgiel	2,5 " "
13) żelazo surowe i przerob.	14,5 " "
14) nici	1 " "
	106,0 mil. koron

Wynika z tego zestawienia, że główne pozycje dochodowe wsi: bydło i nierogaczna o-bracały się w bilansie wywozowym w granicach 80 mil. koron (w 1/3 w tym wywozie uczestniczyły folwarki). Ze drugi dochód za-biegliwej pracy i troski — z masła, jaj, strą-czkowych i rzepaku — równał się 10 milio-nom koron, podczas kiedy z zagranicy do Ga-licji sprowadzał „ktoś” dla konsumpcji wino, kawę, ryż, cukier i porcelanę za 11 milionów koron rocznie.

„Nie bój się Geldhabie! Nie bój się, dobrze będzie”.

„Szło nasze drzewo — pisze Biegeleisen — nieprzerobione w masach okrągłaków, prostych desek do Niemiec zamiast w postaci prze-robów drzewnych, nasza ropa przerabiana by-ła w znacznej części w obcych rafineriach, nawet nasze produkty surowe jak glina, ka-mienie, wapno, piasek, żwir itd. szły za gra-nicę, zamiast ulec przerobce w kraju, skóry surowe szły do fabryk i garbarni zagranicz-nych, nasza sól, zamiast służyć swojskiemu przemysłowi chemicznemu, wzbogacała za-chodnie kraje austriackie, tak samo miała się rzecz z przerobami ropy, z odpadkami, z pier-zem, kośćmi itd. Masowy wywóz surowców odbywał się więc kosztem swojskiej produk-

eji i konsumpcji, która otrzymywała często spowrotem produkt gotowy, przerobiony za granicą z swojskich surowców.

Niektóre gałęzie szczególnie trzymały prym w tej mierze, nasze garbarstwo niestanęciane zaniedbało nie korzystając z pierwszorzędnego surowca, nasze stolarnie fabryczne były u początkowych stadiów rozwoju, pomimo znowu pierwszorzędnego surowca, nasze nieliczne laboratoria i fabryki chemiczne nie wykorzystywały świetnego i obfitego surowca soli, nasze rudy aczkolwiek nie najlepsze nie były ogółem w kraju należyście wykorzystane”.

3) POMOC CHŁOPÓW — EMIGRANTÓW

W r. 1913 wywóz z Galicji osiąga wartość 162 milionów koron, przywóz — 439 milionów koron. Bilans ujemny na 280 mil. koron. Kto go wyrównuje? „Nie bój się Geldhabie! Nie bój się, dobrze będzie”, I tym razem chłopci za nas robią. I robią, a dzieje się to tak. Już w latach 80-tych lichwa wyczuła z inwentarza i ziemi, bez miejsca do pracy emigrują chłopci z Galicji za ocean, 67 tysięcy. W następnym dziesięcioleciu wyrusza ich ponad 300 tysięcy. Między 1900 a 1910 r. — pół miliona. Ale w tym dziesięcioleciu od emigrantów chłopów-robotników, budujących amerykańską gigan-tomachię industrialną, przychodzi rocznie 100 milionów koron na wieś. Oto kapitał oszczędności 100.000 chłopów-robotników, którym podtrzymują oni vegetację 5 milionów drob-norolnej biedoty galicyjskiej. Te sto milionów koron robotniczych ochrania chłopów od śmierci głodowej, a panów Geldhabów od roz-ruchów, od lawinowego przewrotu na wsi. Więcej, te 100 mil. koron pozwala panom Po-tockim i „Janiełkiewiczom” w r. 1883 na 150 psów w Sejmie wprowadzić 105 właścicieli wielkich posiadłości tj. 70 proc., a w r. 1908 jeszcze—65 proc. Te sto milionów koron chłopów-robotników neutralizuje mowę Daszyn-skiego w wiedeńskim parlamencie. „Nie takie głowy jak twoja, Eksceleńcio spady” grzmiał Daszyński do Wojciecha Dziędaszkiego, a stary hrabia układał wtedy najspokojniej do-wcipną odpowiedź na zaproszenie cesarza.

„Daszyński, wówczas w pełni młodości, to był, niezależnie od przekonań słuchaczy — jak wspomina Boy — największy obok Kamyczka (Kamińskiego), sukces artystyczny”.

Sukces... — artystyczny!

W r. 1908 na Sejmie galicyjskim (debata nad budżetem) W. Witos oświadcza (a jest to jedno z pierwszych prezentujących go przemówień), że nie ma „zamiaru puszczać się na szerokie wody wielkiej polityki”. „Jako włościanin pragnę jedynie zwrócić uwagę Wysokiego Sejmu na krzywdę i żądania tych szerokich mas ludności”.

Czy krzywdy i żądania wsi galicyjskiej, któ-raz z nędzy w tych latach wygnana za ocean blisko milion chłopów, nie otwierały perspek-tyw na „wielką politykę”? Czy można było o nich mówić inaczej jak nie o wyniku wielkiej polityki? W. Witos mówi powściągliwie i o-gólnikowo. „Widzimy, że w kraju naszym znajduje się jeszcze tysiące wiosek, które bo-daj jednoklasowej szkółki nie posiadają”. Szkoły jakie są, nie posiadają tego, „ażby chłopca nauczyć, iż jest nietylko chłopem, ale Polakiem”. „Pożądany by było, aby szko-ły wyższe rolnicze w Dublanach i w Czerni-chowie przygotowywały odpowiednich kandy-datów do udzielania nauki rolnictwa w powia-tach”. „Trzeba postarać się o to, aby kobiety wykształcić się mogły w swoim fachu”. „Rząd nie stara się ogromne obszary odwodnić”. Młynarstwo, jedyny przemysł chłopski, został zniszczony przy regulacji rzek. Rybołówstwo wydzierżawione nie chłopom. „Brak drzewa opałowego i materiałowego daje się coraz bardziej we znaki”. „Rok-rocznie wzrastają podatki i różne daniny, lud chętnie je płaci”, ale dyrekcja wymierza je podwójnie, aby po rekursach dopiero zwrócić nieprawne.

„Dajcie nam to, bo się nam należy. Nie rób-cie z tego serdecznego ludu armii niezadowol-onych, jeżeliż wam na naszej i waszej przy-szości zależy”.

Cóż te żądania znaczą w ramach uchwal-onego budżetu: 4 mil. — rolnictwo, 1 — prze-mysł, 12 — oświata? Do wsi przychodziło co-rocznie 100 milionów koron zza oceanu. Oto

Włodzimierz Olszewski

Z treścią wydartej z roli skiby mógł się sprzęgi —
Nam żyć — to nie uczyć się umierać!
Dziś miętem sochy brzmi żelaźnie pługów szczech,
By Ongłs w twarz twarzą stawić Teraz.

Zadumą w miócce ponad ziarnem rozmach ścierpi!
Kłos ofiarą chłopskiej padł rebelii.
W dostale snopy na klepsku praśnął cep —
Zadymi chleb żytnią ewangelią.

Dłoń wdzierzgnąć! Jak praśną parą tchnie zbita kłis!
Tu plew nie zwieją cne słowa z ambon!
Brzudą trakti dzieckom pruć i iść i żyć!
My — wam, wy — nam! Nje: albo... albo...

Nam glaz pod śpiczrz krzepką da zaprawę.
Z kipiących lawą hut aż po brzeg, gdzie skrzypi dźwięk
Śiejba nas prze w odłogi — już lawą.
Kwas strugi poju, ziemi garć i upust krwi

Edmund Calka

...Aż do zniesienia pańszczyzny *)

Dochodzące różnymi drogami wieści o wielkiej rewolucji francuskiej nie tylko zaostriły czujność społeczeństwa chłopskiego Opolszczyzny, ale i postawiły na nogi co gorętsze umysły, uważające, że nadszedł wreszcie czas twardego postawienia swoich warunków w celu wyswobodzenia się z niewoli obszarników i uzyskania pełnych praw obywatelskich, przywrócenia godności człowieka oraz zmiany sytuacji materialnej.

Bodźcem do wystąpienia były również odgłosy Konstytucji Majowej, która po raz pierwszy w historii narodu polskiego brała w obronę najbardziej społecznie upośledzone warstwy.

Ślązacy uważali, że nurty społecznych i socjalnych przemian, idące poprzez państwa i narody z coraz większą siłą, muszą objąć i ziemie śląskie, zwłaszcza że tu, bardziej niż gdziekolwiek, sytuacja na wsi była nie do zniesienia.

Zawrzało w kluczberskim i oleskim. Już nie po lasach, nie w tajemnicy, ale jawnie i otwarcie zaczęto domagać się praw socjalnych.

Poszły manifestacje do króla pruskiego, a gdy zbyt długo nie było odpowiedzi, zbrojne grupy ukazały się na drogach, zajmowały całe wioski i miasteczka. Postawiono dopóty manifestować swoje przekonania zbrojną ręką, dopóki nie przyjdzie poprawa.

Był rok 1793, potem 1794. Do strajku przylączyły się coraz to nowe wioski. Bunt był powszechny. Tu i ówdzie dochodziło do walk między pruskimi żandarmami i wojskiem, wysłanym do stłumienia buntu, a zbuntowanym chłopstwem. Buntownicy nie atakowali — zaatakowani, bronili się do upadłego. W razie przemocy wroga wycofywali się do lasów i przepadała. Żaden żołnierz nie odważył się zapuścić w gęstwinę leśną — las był postrachem dla Niemców.

Raz po raz szły szwadrony na poskromienie powstańców. Palono wioski i osiedla, grabiono, strzelano najczęściej Bogu ducha winnych ludzi — starców, kobiety i dzieci. Raz po raz minister prowincji śląskiej, hr. Hoym, wydawał rozkazy coraz surowszego obchodzenia się z pojmanymi do niewoli.

To nie był już bunt czy strajk — było powstanie.

Walka o prawa socjalne przemieniła się w walkę z wrogiem — pruskim okupantem. Polak mierzył się z Niemcem. Chłop z widział czy kłoniąc stał oko w oko z karabinem prusaka.

Opór wzmógł się, walka stała się bardziej bezwzględna na wieść o chłopskim naczelniku w sukmanie, Kościuszcze, który wspólnie z chłopami gromić zaczął Moskali, o jego zwycięstwie pod Racławicami, o wielkim manifestie polanieckim.

Na interwencje ministra prowincji śląskiej rzucano nowe wojska z terenu całego okręgu śląskiego dla jak najrychlejszego stłumienia powstania. Plutony w ostrym pogotowiu patrolowały dzień i noc. Zachowano wszystkie środki ostrożności, zaareztowano setki ludzi pod pozorem należeń do organizacji oporu, wielu spośród nich wtrącono do więzienia, wielu zakatowano na śmierć lub rozstrzelano.

Nie mamy ich nazwisk, podobnie jak nie mamy nazwisk przywódców, którzy tym razem pokierowali ruchem daleko lepiej niż w pierwszym buncie i tak potrafili przez długi okres czasu nékać przeciwnika, że ten X razy silniejszy, nie potrafił zapanować nad sytuacją.

Wrzenie w powiecie kluczberskim i oleskim trwało aż do roku 1800, zakończone strasznym zniszczeniem i spaleniem w sycowskim szeregu wiosek, posadzonych o udział w powstaniu.

Kluczberk i Olesno to powiaty, w których prawie bez przerwy chłop stał pod bronią przez kilka lat z rządu w obronie swojej zagrody, w nierównej, ciężkiej walce z obszarnikiem i stojącym za nim z bagnietem w rękę pruskim żandarmem.

MAREK Z IMIELNICY

Wobec ruchów chłopskich na Opolszczyźnie Niemcy byli bezradni. Chcąc stłumić w zaródku wrzenie, musieliby zniszczyć wszystkie wioski, a to ze względu politycznego i gospodarczego było niewskazane. Wpadli więc na inny koncept, mniej szumny, ale według ich mniemania — bardziej skuteczny i, zdawało by się, łatwy do wykonania: sięgnąć chcieli do ośrodków dyspozycyjnych ruchu chłopskiego, by pozabawić chłopstwo kierownictwa i bunt postawić w obliczu zupełnej samolikwidacji i zamarcia wobec braku przywódców i przewodników.

Krażyły więc po terenie rozmaite typy w przebraniu chłopów, kupców i różnych obieżyświatów, szeroko otwierając oczy i uszy w nadziei znalezienia znienawidzonych i groźnych przywódców. Ale chłop pary z gęby nie puszczał, nie wygadywał się nigdy, czując podświadomie, że wróg czuwa wszędzie i że jego nieopatrzne słowo może przynieść nieszczęście.

Administracja jak również władze wojskowe musiały mieć przywódców — tego wymagał ich honor, tego żądał król. Nie można odnaleźć prawdziwych przywódców, trzeba postąpić inaczej — niech będą ludzie prości: wzmówi się im udział w powstaniu i ukarze — dla przykładu i postrachu. Sprawiedliwość musi się stać zadość.

Doniósł ktoś właśnie, że w karczmie w Imielnicy, w powiecie strzeleckim, jeden z chłopów, nazwiskiem Marek, niepoehlebnie wyraził się o rządzie pruskim, grożąc likwidacją oddziału żandarmerii w razie dalszego prześladowania chłopów. To wystarczyło — znalazł się sprawca, znalazł się przywódca.

Minister prowincji śląskiej, hr. Hoym, polecił go natychmiast ująć. Władze pruskie w obawie napotkania na zdecydowany opór w Imielnicy, którą zaczęli uważać teraz za główny ośrodek dyspozycyjny ruchu, nie odważyli się aresztować Marka w jego rodzinnej wiosce.

Czatowali na niego przez dłuższy czas, aż wreszcie w czasie jarmarku w Opolu w dniu 17 marca 1794 r. przychwycili go i pod silną strażą odstawili do aresztu, skąd natychmiast napół nagiego wyprowadzili na rynek, by na widoku publicznym, pospędzawszy wszystkich w jedno miejsce, do końca egzekucji w postaci przepędzenia przez tzw. praszczeta, co równało się 125 różgom, wymierzonym przez kilku z rządu oprawców.

Był to straszny dwudniowy jarmark. Niemcy nie pozwolili rozjeżdżać się do domów, zatrzymywali wszystkich na drugi dzień, by byli świadkami ponownych katuszy nieszczęśliwego Marka.

Na drugi dzień ta sama porcja. Znow rozpasany żołdak pruski wymierza rytmicznie, z radością i pełnym zadowoleniem, różgę po różdze skrawionemu i nieprzytomnemu „buntownikowi”.

Gdy zmęczyl się, różgę oddawał drugiemu, ten znow trzeciemu. Ze straszną, pruską skrupulatnością liczone powoli różgi. Po 125-ej z kolei oprawcy odeszli, zostawiając w kałuży krwi straszny strzęp biedaka.

Chłopi zabrali na wóz tę krwawą ofiarę prusactwa i w manifestacyjnym pochodzie, odwieźli do rodzinnej wsi.

Ten krwawy strzęp człowieka stał się symbolem prześladowania wsi i zamiast odstraszyć od buntów i walk, podniecał do wystąpień, wzbudzając żądzę zemsty i odwetu. Nienawiść do obszarników przerosła się teraz w nienawiść do Niemców. Odyżała chęć walki ze strasznym wrogiem, który nie tylko nie realizuje socjalnych żądań wsi, ale nie przebiera w środkach i krwią niewinnych i uciśnionych znaczy swoje bezwzględne panowanie.

BOJKOT I ODWET.

Trzeba było raz rozpoczęte dzieło prowadzić dalej, jakkolwiek jasne było, że walka skazana była na niepowodzenie wobec znikomości środków, jakimi wieś rozporządzała oraz braku odpowiednich dowódców, którzy by potrafili skoordynować bunt, zespolić wszystkie siły celem stworzenia naprawdę silnego frontu ludowego dla realizacji programu socjalnego z uwzględnieniem praw narodowych elementu polskiego.

Cała Opolszczyzna była właściwie pod bronią. Zarządzono bojkot niesprawiedliwej pańszczyzny na wszystkich majątkach ziemskich. Tolerowano wprawdzie pańszczyznę, z tym jednak zastrzeżeniem, że będzie ona sprawiedliwa, że nie skrzywdzi chłopów i nie będzie wykorzystawać w straszny sposób jego sił i pracy rodziny.

Tam, gdzie nie szanowano żądań chłopskich, następował zdecydowany strajk: cała wieś bez względu na konsekwencje opuszczała najpilniejsze roboty aż do czasu, kiedy właściciel majątku nie przyrzekł spełnić jej żądań.

W wypadku, jeśli dziedzic nie spełniał przyrzeczenia lub odniósł się do władz pruskich, ścigając na wieś prześladowania i represje, następował odwet — dziedzic wyrokami ludu podlegał karze, nawet do śmierci włącznie, za krzywdy wyrządzone społeczności chłopskiej.

Karano również te dwory, które przemocą brały od chłopów robotników ponad przyjętą normę. Chłop dawał dobrowolnie robotnika. Robotnicy ci mogli bez uszczerbku dla pana obrabiać gospodarstwo — na

punkcie ziemi chłop był sprawiedliwy i wieść mógł lepiej od dziedzica, ilu potrzeba robotników dla normalnego funkcjonowania majątku. Jeśli przeto dziedzic ścigał ze wsi robotnika dla swoich osobistych celów, spotykała go zasłużona kara, zbrojne ramię wsi dosięgało sprawcę w jego pięknych salonach i wymierzało odpowiednią karę. Każda krzywda bywała pomszczona.

Bojkot, a przede wszystkim groźba, jaka zawiśla nad niesprawiedliwością dworów, uświadomiła dziedzicom konieczność liczenia się z wyzwalającymi się w ludzie siłami — dziedzice musieli, chcąc nie chcąc, zmienić kurs wobec chłopów na bardziej korzystny dla niego. Zmiana ta nie była poparta pisemnym jakimś zarządzeniem — była jedynie podyktowana strachem przed konsekwencjami. Jako taką miała charakter dorywczości i dowolnie była interpretowana przez danego dziedzica.

Siły chłopskie występowały nie tylko w ramach stosunku dworu do chłopów i robotników. Rozszerzały zakres swego działania również i na wojsko oraz oddziały żandarmerii. Jeśli oddział jakiś dopuszczał się rabunku i mordów na wsi lub zabierał z niej co lepszego robotnika przy użyciu przemocy, chłop używał siły w obronie swych synów. Przychodziło do walki, widły były w ruchu i kłonicie, lała się krew. Czasem zwyciężyła wieś, zdobywała broń, czasem krwawe ponosiła ofiary. Instynkt samoobrony bez względu na ofiary kazał walczyć i z bronią w rękę bronić swych praw.

Stan taki trwał — bez przerwy prawie — od 1795 do 1797 r. Statystyki pruskie nie wykazują swoich strat w tej wielkiej walce polskiego ludu Śląska z pruskim okupantem. Również wieś nie podaje ogromu zniszczeń i ofiar najlepszych swoich synów — jedynie legenda czy baśń ludowa z pokolenia w pokolenie cichcem przez długie lata niewoli opowiadała o czynach praojców z końca XVIII wieku.

Niemcy starali się zatrzeć w pamięci wsi te chwile bohaterских rozpraw w obronie wolności — nadaremnie.

ZBROJNY OPÓR W TOSZECKIM I BYTOMSKIM

Nie umilkły jeszcze echa walk w innych powiatach Opolszczyzny, nie zablizniły się krwawe rany, a już ludność wiejska w bytomskim i w toszeckim latem 1799 r. zaczęła zbrojnie opierać się nie tylko dworom ale i załogom wojskowym, w rękach których pozostawała teraz administracja tych ziem. Załogi wojskowe zaczęły bowiem postępować z polską ludnością jak z narodem podbitym.

Na całym obszarze zaprowadzono coś w rodzaju stanu wojennego, jakkolwiek chłop po okresie ciężkich zmagań był raczej lojalnie ustosunkowany do władz i właściwie nie zamierzał dłużej prowadzić walk bez żadnych widoków powodzenia.

Załogi wojskowe przez wyraźne wrogi stosunek do wsi, przez ciągłe aresztowania pod pozorem spisku, stałe rabunki i szkany — spowodowały nowy odruch społeczeństwa chłopskiego.

Na dany znak z Bytomia, który teraz stał się poważnym ośrodkiem ruchu, około 50 gmin z sąsiednich powiatów podniosło broń, tym razem bezpośrednio przeciwko wojsku, jako najbardziej dającym się we znaki spojnym z natury Ślązacom.

Już nie po lasach, ale po wszystkich drogach i wioskach dzień i noc czuwały uzbrojone rozmaite chłopskie oddziały, nie pozwalając na swobodne poruszanie się mniejszych oddziałów pruskich.

Sprawa wolności socjalnej połączyła się teraz z wolnością osobistą, reżim bowiem pruski zaczął gwałtem tu i ówdzie wcielać Ślązaków do wojska, przypuszczając, że przez pozbawienie ludności najbardziej rzućkiego i aktywnego elementu — młodzieży — nastąpi uspokojenie rozgorączkowanego umysłów na terenie wsi.

Przeliczyli się jednak Prusacy — branka przymusowa nie tylko, że nie przytłumiła ruchu, lecz przeciwnie — młodzież rzuciła do lasu.

Nie pomogły sądy doraźne, aresztowania. Nie straszne były karne ekspedycje w terenie. Objętym pożarem powstania: lud cierpiał, zaciskał zęby, bił się i walczył, zwłaszcza, że na horyzoncie europejskim zaczęła błyszczeć gwiazda Napoleona, w stronę którego kierowały się teraz oczy uciśnionych i nieszczęśliwych w nadziei pomocy zrealizowania marzeń o wolności.

Lud czekał cierpliwie, nie odstępował od swych żądań, zdając sobie sprawę, że tylko

twardą i niewzruszoną swoją postawą wywalczy swe prawa i uzyska lepszą przyszłość.

Złagodzenie kursu wobec ludności polskiej, wynikłe z powodu wzrostu potęgi Napoleona i obawy o przyszłość Prus, napędziło Ślązaków nadzieją, że tym razem postulaty ich będą w całości spełnione — staną się wolnymi obywatelami Polski.

CHŁOP ŚLĄSKI NA ŚLĄSKU OPOLSKIM W DOBIE NAPOLEONA

„Należy żałować — pisze historyk wojskowości okresu napoleońskiego, Janusz Staszewski — iż nie pozostawiono na Śląsku żadnej większej jednostki bojowej, przy ukazaniu się bowiem większych oddziałów polskich łatwo dałoby się wywołać powstanie”.

Ludność Śląska, nauczona przykrymi doświadczeniami poprzednich okresów walk, nie chciała samorzutnie powstawać, oczekując ze strony Polski wydatnej pomocy, Prusacy bowiem likwidując w międzyczasie zbrojny opór w kilku powiatach Opolszczyzny, rozmieścili po większych miejscowościach wzmocnione garnizony wojskowe, celem niedopuszczenia na przyszłość do ewentualnych rozruchów na terenie wsi. Niemcy tym razem czuwali, starając się zabezpieczyć tyły na wypadek zbrojnej akcji z cesarzem Francji. Przeworny Berlin zawczasu otoczył opieką niespokojną ziemię opolską, nie chcąc w chwili starcia się z potęgą Napoleona walczyć na dwa fronty.

W takich warunkach — bez oparcia się o silny trzon polskich oddziałów wojskowych, stacjonowanych na tym terenie — nie do pomyślenia było powstanie ludu śląskiego, tak bardzo już wystrzępionego w długoletnich walkach i z tęsknotą wywołującego pomocy od Macierzy.

Porucznik Trębecki, patrolujący z początkiem roku 1807 z rozkazu krakowskiego pospolitego ruszenia, raportował z pod Koźła o tym, że Ślązacy kilkakrotnie błagali o pomoc przeciw komendom pruskim w Bytomiu, Gliwicach i Toszku, biorącym ich gwałtem w szeregi i łańcuszki. „Dajcie nam zapewnienie — prosili — że przyjdziecie nam z pomocą a sami damy sobie radę z Prusakami”.

Ale niestety — siły polskie były dość szczupłe, aby mogły obsadzić Opolszczyznę i przystąpić do działań ofensywnych, zwłaszcza, że wkrótce musiały iść z pomocą gen. Zajaczkowi na teren Prus Wschodnich.

Trzeba cierpliwie czekać na lepsze i sprawiedliwsze czasy. Ślązak jest twardy i nie lubi się zrażać przeciwnościami. Nie spełniły się jego dążenia narodowe w dobie napoleońskiej, spełnić się muszą przynajmniej jego marzenia o prawach socjalnych, zwłaszcza, że na Śląsku Polskim poddaństwo zostało zniesione już w r. 1807. Zaczyna więc na nowo domagać się swoich praw. Staje się twardy i nieustępliwy, już nie jak o cichy, pokorny niewolnik, poddający nagi grzbiet pod bat swego pana, ale jako prawy i jedyny właściciel ziemi. Nie buntuje się już, nie chwytają za broń — z prusakiem chce wejść w układy, aby tą drogą — w sposób daleko łatwiejszy i nie pociągający za sobą krwawych ofiar — uzyskać to, czego nie można było wywalczyć z bronią w rękę — zniesienie pańszczyzny.

Król pruski, nie widząc innego wyjścia, wysłał swego namiestnika, który też wkrótce słyszy od delegacji chłopskiej, przybyłej do Brzegu, charakterystyczne, powtarzane przez całą ludność słowa: „prędzej się poświęć damy, niż dłużej będziemy pracować na pańskim łanie”. Był to rok 1811.

Namiestnik królewski, który miał nadzieję przekonać chłopów o niesłuszności ich stanowiska, napotkał na tak zdecydowaną nieduwczą postawę delegacji, że odjechał z przeświadczeniem o konieczności szybkiego rozwiązania sprawy chłopskiej, w przeciwnym razie Opolszczyzna być może znów terenem przerożnych powstań i walk, tak bardzo szkodzących sprawie bezpieczeństwa i całości granic państwa pruskiego.

Wkrótce po powrocie namiestnika do Berlina ukazał się edykt królewski, uwalniający chłopów od pańszczyzny. Edykt ten — zdawano sobie sprawę z tego i w stolicy Prus — nie był aktem darowizny czy chęci polepszenia doli chłopów śląskiego — podyktowany został koniecznością dziejową w wyniku długiej walki z elementem, którego proces uświadomienia społecznego zaczął się tak wielkie kręgi i wytworzył tak wielkie siły, że lekceważenie ich — nawet z pruskiego punktu widzenia — byłoby nie do pomyślenia przy racjonalnym prowadzeniu gospodarki państwowej.

*) Patrz I część „Wieś” nr 17.

I.

Wiesław Jajdżyński

GORACE popołudnie późniejszego miesiąca września 1944 r.

Terkoce miocarka w Protowej stodoie, obraca się wolno długi dyszel kieratu. Chodzę za chudym zadem chłopskiej kobyły, patrząc zazgroźnie na starego, który z młodszym synem Edkiem oddziela zmlócone już kłosy i krowie od pszenicznego ziarna. Stanowczo przyjemniejszą mają robotę. Ale trwałem przy tym wolnym kolowaniu, oganiając konia batem od natrętych much. Chodziło o ambicję, a może i więcej.

Trzeba było pokazać, że nauczyciel w tajnym chłopskim gimnazjum nadaje się do wszystkiego.

Stary wybierał najgorszą robotę. Najpierw to wynoszenie gnoju ze stajni i obory, później huskanie grochu, rąbanie drzewa a teraz chodzenie za kieratem.

Pojedynek ze starym Protym trwał już z miesiąc i nie był łatwy. Bolały ręce, bolał kark, obornik drażnił powonienie.

Stary przerwał — na chwilę dokładanie pszenicy i spytał:

— No i jakże tam?

— Ano nic — pomalutku. Długo jeszcze?

— Ano długo i pomalutku, jak w chłopskiej robotcie. Sam se pan winien. Ucy pan mojego Gienka na pana, chłopak się większom robotom paprać już nie chce, mówi, że jest tero do wyższych celów; to pan musi za niego robić — bo robić trzeba. Inacy nie poradzi.

I poczał dokładać pszenicy ze zdwojoną energią.

Tymczasem niebo pobrało, spadł z jabloń pierwszy zeschnięty liść, wiatr lekko poruszał jesienne astry.

Zgodnie z przyjętym po pracy zwyczajem, siedliśmy na przybie, żeby trochę pogwarzyć. Wiedziałem z góry, że i tym razem stary przesunie dziwaczny kapelus z dużym rondem na tył głowy, poprawi wąsa, poczęstuje mnie tytoniem i zacznie opowiadać patrząc gdzieś przed siebie. Postanowiłem go uprzedzić. Podsunąłem mu pudełko z papierosami i spytałem:

— No i jak uważacie, nadają się pany z miasta, ta szlachta — do chłopskiej roboty?

— Z pana może co i będzie, jak się pan nauczy nie tylko robić, ale i myśleć po chłopsku. A naród szlachecki tako robotom brudzić se ręk nie chce. Woli trzymać za głowę partyzantkę i prowadzić swojom naukę w gimnazjum. Będzie z tego nieszczęście, zobaczy pan.

— Nieszczęście? Przecież walczymy o wolność wspólnie wszyscy, szlachta, ludzie z miasta, robotnicy, a przede wszystkim chłopci. I albo będziemy mieli wszyscy wolność, albo nikt z nas.

— Tyz se profesor wymyślił! Cóż z tego, że się cały naród bije, kiedy to nie jest walka o wolność wszystkich. A chłopci... to się tero za chłopskom Polskę bijom? Czy pan ich tego może ucy?

— Zaraz, zaraz! Najpierw trzeba odzyskać wolność, a później tworzyć w istniejącym już państwie taką rzeczywistość, która uwzględni należycie interesy wszystkich klas społecznych.

— Co mi pan takie rzeczy opowiada! Przed tamtom wojnom myśleli my jak pan teraz. Ale tyz się pan spóźnił! Na tamtyj wojnie byłem, mój somsiad Drzymek tyz. Polski mi lepszy się spodziewali, ale cóż? Na reforme ani się doczekać, z ruchem ludowym coś pokręcili, że nie na swoim stronę chłopci w sejmie gadali.

Pomocy dla nas żadny, a dziedzie miał wszystko i nawozy i maszyny i gdzie zboże sprzedać. Jedno tylko panu powim: kto ma rząd, polieję, urzędy — ten zrobi jak chce. Szlachta jest mądre i już se za wczasu rządu zyskuje. A my pójdziemy znowu na dziady, chociaż naszych żołnierzy jest zawsze najwięcej. Ale to nie byłoby jesse najgorsze.

— Nie rozumiem, to nie wszystko?

— Będzie jesse gorzej. Słuchaj pan. Teraz się bijom narody szlacheckie z chłopskimi. Niemcy to jest naród szlachecki. Robić ino na nich, a one se chodzim i rządcom, zgrabne i złe. Ruski — to jest naród chłopski, mały i niedoedzony i licho ubrany.

— Coś tu się wam nie klei gospodarzu. Mówiliście mi kiedyś, że powstanie warszawskie zrobiła szlachta. Jaktó, więc bije się z Niemcami?

— A cóż o takiego? Szlachta ze sobą się nie bije? A ile razy bila się sanacyja z endekami? Mnie tego w szkole nie nauczyli i pan pewno o tym nie ucys. Samem się doczytał i widziol. Nie pobili by się teraz w Warszawie tak chętnie, gdyby nie szło o władzę. Bo tera ma szlachta wroga za Wisłom. Chciałaby mieć już państwo i policje nim tamte nadejdóm, ale, to się chyba nie uda. Tamte nadejdóm i dopiero będzie nieszczęście.

— Dlaczego?

— Ano... tylko panie profesorze, nie polecicie chyba do komendanta placówki i nie powiecie mu, że ja tu takie rzeczy gadam.

— Możecie być spokojni.

Nieodwołany rozkaz

Dyr. Romanowi Czerneckiemu, Stanisławowi Stradomskiemu i Kazimierzowi Zarębie, kolegom z konspiracyjnego gimnazjum chłopskiego.

Więc te naczelniki od narodowców i powstania warszawskiego chcom takiej Polski jaka już była, a tamte Polaki z za Wisły zrobili se w lubelskim innom Polske. Chłopom ziemi podobnie rozdali bez pieniędzy, robim spółdzielnie. Panie, ja nie wim, jak tam jest, ale ze podobno zupełnie inne życie. Nic się nie poradzi, oni tu przyjdóm i będom zmieniać. Tymczasem naród nie jest przygotowany. Jedne będom słuchać tych, drugie tamtych. Pobijom się jesse, zobocys pan. A wy profesory od przeszło roku dobrze wicie, kto do nas pierwszy przyjdzie, a nie uczycie tego co być musi, czy pan chce czy nie. Opowiadacie jakby się wam podobało, a nie jak będzie. Myślicie se po pańsku.

— Co wy wicie, o naszym nauczaniu...

— Oj, panie, dużoby o tym mówić. Przecie widzę co mój Gienek robi, chłopski syn. Kiedyś kazał Edkowi kłęczć i ucyl go przysięgi na Sztandar Narodowy. Chłopak głupi, przejął się, bo to ładne słowa, ale powidz mi pan — kogo słuchać? kto im w partyzantce każe słuchać! Różne pany w eleganckich butach.

A wy w szkole. Uczycie, że byli wodze Żółkiewski czy Poniatowski, wielgie bohaterzy, za którymi wojsko lazo w ogień. Ale pan Gienkowi nie powi, że on jest Poniatowski ino, że jest od słuchania.

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Gospodyni wychodziła w czasie naszej rozmowy kilka razy na podwórze to po wodę, to znowu gadzinę nakarmić. Przechodząc znowu, nie wytrzymała tym razem.

— Dziecie go! Jaki to polityk! Bidny profesor! Nacharuje się nad tymi leniami bez cały dzień, a tym nie dość, że go do gnoju pcha, za kieratem każe chodzić, jesse mu wymyśla, że źle ucyl. Książd jegoś się pytajom, kiedy do spowiedzi przyjdiesz! Boże Swinty, że tyz tyli czas da rađe żyć bez Boga ten ancykryst! Spółdzielnie by ino zakładał, głupim chłopom jak som jest, albo Drzymek, daiby rządzić, panom ziemie odbierać. Komunista jezdeś, wis? Czy tyz mu Pan Bóg to wszystko wybaczy!

— Wybacy i podziękuje — odpowiedział Prot i poszedł wolno w stronę sadu obejrzeć ulubione jabłonie.

II.

Dom stał na wzgórzu przy drodze wijącej się wawozem, nad którym zwisały wisnie. W Protowym domu były dwa obszerne dwukienne pokoje. Ale nawet jeden wystarczył na pomieszczenie dwudziestki chłopskiej młodzieży z trzeciej gimnazjalnej.

Mówiliśmy, w związku z budową anatomiczną rośliny, o potrzebie stosowania nawozów sztucznych. Wywiązała się żywa dyskusja na temat ilościowego zapotrzebowania różnych gatunków nawozów na przeciętne gospodarstwa. Chłopcy wykazywali dużą znajomość zagadnienia, a co więcej — zainteresowanie. Przerzucili dyskusję na sprawę technizacji i racjonalizacji gospodarstw, zasypując mnie rozmaitymi pytaniami. Przekonałem się nagle, że to jest właściwy nurt zainteresowań chłopskich. Było mi wstyd, że nie umiałem dać wyczerpujących odpowiedzi na pytanie o fabryki maszyn rolniczych, nawozów, problemu elektryfikacji wsi... Przy końcu lekcji padła z ust prymusa klasy niespodziewana uwaga:

— Przyszłe państwo polskie musi unormować stosunek cen artykułów rolnych do przemysłowych, żebyśmy chłopci nie byli, jak dotąd pokrzywdzeni. Powinny istnieć stałe punkty wymiany między rolnictwem a przemysłem, spółdzielnie albo inne instytucje.

Patrzyłem uważnie na mówiącego z niezwykłą powagą — Edka Stepnia.

Lekcja skończyła się. Chłopcy byli podnieceni i dumni, że się mówiło o ich sprawach i co ważniejsze — oni mówili.

Szedłem wolno drogą nad którą zwisały wisnie i złożyli się klony. W odległej o dwa kilometry wiosce, czekali na mnie licealiści.

Dopiero co miniona lekcja dała mi wiele do myślenia. Zastanowiłem się głębiej nad słowami Protą i doszedłem do przekonania, że miał on dużo racji. Dobór materiału faktycznego, a przede wszystkim komentarzowego, szczególnie w naukach humanistycznych nie przystawał zupełnie do zainteresowań chłopskiej młodzieży i nie tylko, że jej nie wychowywał, ale wyrabiał w niej kompleks niższości.

Przypominały mi się uwagi prof. St. Zakrzewskiego w jego „Zagadnieniach historycznych”. Pisał tam: „Dajemy (chłopskiemu), dziecku w rękę podręcznik hi-

storii polskiej, z którego się dowie, że co dziesiąty król był przyjacielem chłopów. A zresztą historię Polski robili szlachci. A gdzież w tym wszystkim jedna stro-na taka, któraby chłopskie dziecko znało jako swoją i kochało od pierwszego wejzenia, uczuło, że jest w swoim świecie”.

Postacie wielkich, legendarnych hetmanów, które nieraz na lekcjach specjalnie wyolbrzymiałem, były dla moich chłopców niedoścignionymi wzorami wodzów, z którymi układali stosunki na zasadzie bezwzględnej podrzędności a w życiu przenosili ten stosunek na swoich, nie chłopskich, dowódców z partyzantki. Nie czuli tu własnej, równorzędnej roli.

Dzisiejsza lekcja pokazała ich jakby z innej strony. Zainteresowali się tym, co odpowiadało ich społecznej roli, szukali związku między nauką a swoją aktualną i przyszłą rolą w społeczeństwie.

Chłopcy wykazali, że nie można ich dalej kierować w stronę dalekiego i obcego ideału, ale trzeba nadać nauczaniu praktyczność zgodną z ich chłopskim rodowodem. Kochani chłopcy, jesse pewno dyskutują nad lepszą przyszłością swoich gospodarstw. Ileż to razy w płataniu różnych dróg jest się bezwiednie na dobrej, a później się znowu zboczy?

III.

Mróż ściał wodę w stawku za Protową stodołą, drzewa pokrył gęsty puszysty szron, że wyglądały jak białokwiecisty sad na wiosnę.

Kiedy się wyszło na górę, którą stary posiewał co roku koniczyną, słyhać było daleki huk armat od wschodu. Wychodziłszy tam nieraz patrząc ku nagłowickim lasom, ciągnącym się aż po Jędrzejów, do którego docierały podobno sowieckie czołgi.

Z różnych stron niosły się przez czyste powietrze wystrzały. Czasem terkotały gdzieś blisko karabiny maszynowe. To nasi partyzanci dezorganizowali zaplecze niemieckie. Wszystko to działo się przy monotonnym akompaniamencie tysięcy pojazdów niemieckich, wycofujących się szosą ku Zawierciu, smutno, bezładnie, w pośpiechu.

Był czas nadziei i zwątpień. Coś się popsuło w sprawnym dotąd mechanizmie podziemnego ruchu. Jeden rząd jesse nie ustąpił, nadchodził już drugi wraz ze zwycięską ofensywą. W sieci organizacyjnej krzyżowały się sprzeczne rozkazy. Jedno radio mówiło, żeby się oszczędzać i stać z bronią u nogi, drugie wzywało do akcji zbrojnej. Poszczególne grupy łamały coraz częściej rozkazy i były w mniejsze zgrupowania wroga. Dla żołnierzy partyzanckich było oczywiste, że nadszedł czas uderzenia, na który czekało się przez lata. Jakże stać teraz z bronią u nogi?

Zwalczały się wrogie sobie choć bratnie propagandy. Orzeł z koroną walczył z Orłem bez korony.

We wsi gromadzili się chłopci, urzędnicy gminni i warszawiacy wyrzuceni po powstaniu z rodzinnego miasta.

Doktor zapowiadał straszne czasy dla inteligencji jeżeli „nasz rząd” tego nie załatwi, chłopom — kolchozy i odebranie własności. Słuchali w milczeniu. Tylko sąsiad Protą — Drzymek odpowiadał:

— To się jesse obacy...

Baby zapelniały kościółek, gdzie książd odprawiał z nimi wspólnie modlitwy do Matki Boskiej. Chłopci wyprowadzali dobytek zdala od chałup...

Prot chodził po sadzie i doglądał chochoły na różnych krzewach. Czynał to ze zwykłym spokojem i powagą.

— Tak to i jest. Dziejom się wielgie rzeczy, ale te male i tak trza zrobić. A wy cóż? Urządziliście podobno z waszym dyrektorem założyć chłopskie gimnazjum w miasteczku, ino skopów diabli wezmą?

— Istotnie, mamy taki zamiar.

— I jakże będziecie tero uczyć? Casy idom inne.

— Wiedza nie zależy od czasów. Rozwija się niezależnie. Mówowali jednak zacząłem rozmyślać o zmienionym kierunku nauczania. Należałoby naradzić się przynajmniej z kolegami naszej placówki oświatowej.

— Młody pan jesse. W szkole jest zawsze tak, jak i w kraju. Pamiętam som, że jak przed wojnom siedlem na te... wywiadówkę do miasteczka o mojego syna, tego co to jest na emigracji i gdzieś we Włosech wojuje, to jagem posed do gimnazjum, to mnie wożny obrugał, że gnojem pachnę i nie bardzo chciał wpuścić. A dlatego że tak było w szkole, jak z chłopami w Sejmie.

— Ale panie? Co taka cisza?

Rzeczywiście, cisza aż uderzała. Jeszcze przed chwilą gromiła działo o kilka kilometrów pod miasteczkiem, gdzie miało powstać nasze gimnazjum, a teraz? Nie słyhać nawet basowego grania samolotów. Stado wróbi przelatało wśród przeraźliwego świergotu i obsiadło Protowe jabłonie.

— Chodźmy na trakt — rzekł wolno i dobitnie stary — może to... jus!

Wzdłuż traktu wiodącego ze wschodu na zachód stali ludzie. Prot skręcił papiera, nastawił kolnierza od burki i czekał. Czekali wszyscy patrząc ku zawadzkiej górze.

Ta cisza była trudna. Chciało się, żeby już nadeszli. Niech się dzieje, co dzieć się musi... byle by prędzej mieć już to wszystko za sobą. Od wschodu nadlaty samoloty. Na skrzydłach już nie czarne krzyże, ale czerwone gwiazdy. Nagle Drzymek szturchnął Protą w ramię i krzyknął:

— Dziecie somsiadzie? Nase lecom!

Błękitnym niebem przesunął się szybko srebrny samolot z białoczerwonym kwadratami na skrzydłach. Zaraz też nadjechał traktem prowadzącym na zachód, duży pancerny wóz. Obsiedli go żołnierze w fu-trzanych czapach. Nikt nie wyrzekł ani słowa. Tylko Prot, nachyliwszy się ku mnie, powiedział cicho:

— Widzis profesor? To jest chłopski, ruski naród. Male to i licho ubrane. Ale się spiesom. Widać majom po co. Cie, cie.

W kilka chwil nadsięgnęły wielkie, ciężkie czołgi. Obok nich szła już bez przerwy piechota.

Obserwowaliśmy w milczeniu tych nieznanych nam jesse żołnierzy, nie umiając sprecyzować uczuć. Przeciw nim mówily dawne lata ze starych podręczników historii. Teraz znowu mówi życie inaczej. Ale przeobrażenie pojęć nie następowało. A może to nie jest takie proste.

Z wielkiego czołgu zeskokczył młody oficer, podbiegł ku nam i rzekł czystą polszczyzną:

— Panowie! Nie róbcie wielkich oczu! To naprawdę czerwona armia. Dajcie co zapalić. Jak będziemy wracać z Berlina, oddamy wszystko.

Daliśmy mu posiadane papierosy. Za chwilę rozdzielał je żołnierzom na wielkim czołgu...

IV.

...Na zachód od wsi, gdzie przy kroczyckich skałach rozgorzała bitwa. Szliśmy wolno wawozem ku górze. W przodzie Prot z Drzymkiem, my — nauczyciele za nimi, coraz bardziej niepewni, jakie projekty zmian wychowania w gimnazjum chłopskim wnieść na mającej się odbyć konferencji.

...W chałupie — jak zwykle, gwarno było i duszno. Baby obsiadły rzędem ławy, przędy, gadając bez przerwy.

— Jeden oficyer, uśmiechnął się, szylma, do mnie. Cóż, młoda jezdem, ino mnie Bóg tym starym kuternogą pokarał. Ze go tyz sołtysem zrobili! Tak się tym pyśni, jak tyz Hitler na początku wojny — perorowała sołtysina.

— Cy tys pozwolom tero na msze świntom — pytała Procina. — Mój to się ta tym nie martwi, ino się ogląda, cy się co zmieni, cy mu będzie wreszcie lepi. Nie lepszego mom chłopca niż wy sołtysino.

— Cóż gadacie, przecież nie stary i krzepki. Jesce te rzeczy potrafi.

— Cóż z tego, kiedy se o tym przepomina.

Nie potrafiliśmy ustalić wskazówek wychowawczych na zjazd dwudziestkilku pedagogów z całego tajnego gimnazjum rozrzuconego po wsiach dwu powiatów. Rzecz była zbyt nowa. Zresztą mieliśmy szereg wątpliwości, które pozwoliły tę trudną sprawę odłożyć. Więc najpierw, czy dostaniemy pomagnacki pałac na gimnazjum, czy wieś je zechce w ogóle mieć, czy pomoże przy urządzeniu? A może ten lubelski rząd nie pozwoli utworzyć gimnazjum? I wreszcie nie wiadomo nadal, którego rządu słuchać. Szukaliśmy jeden przez drugiego, coraz to nowych wątpliwości.

Drzymek i Prot słuchali co mówiliśmy, wreszcie mój gospodarz rzekł:

— Gimnazjum, to my zrobimy. Mamy duzom szkołę powszechnom, co my jom jesse przed wojnom zbudowali za posła Ledwocha, to teraz musimy mieć i gimnazjum, żeby nam się dzieciiska po świecie nie rozlazily i nie trza było tyle płacić. Od szkoły powszechnej do gimnazjum gościniec musi być niedaleki i gładki. Dobrze gadom Drzymku?

— Dobrze gadacie somsiadzie. Przepijmy do siebie. Ino, żeby znowu nie było Polski od plknego gadania.

— Eee.. cóż Drzymku mówicie. Teraz już nie powinny różne agitatory jeździć na wieś za wyborami i obiecywać, jak Witosowi — gruski na wierzbie. Będziemy gadać sami za siebie.

c. d. n.

Maciej Czula

Jak to w austriackiej armii kształcono na rolników

Osobliwe kategorie chłopów stanowią tak zwani chałupnicy, z domkiem i jedną lub dwiema morgami gruntu. Są oni we wsi mniej więcej w takim stosunku do bogatych gospodarzy, w jakiej bywał szlachcic chodacki do magnata w Polsce. Stara się być jego cieniem i odgadywać jego myśli, jest we wszystkim od niego zależny. Któż by mu bowiem na przednówku sprzedał miarę zboża czy korbę ziemniaków, kto by mu zorał grunt pod zasiewy? Dlatego głoszą chałupnik przy wyborach na sołtysa, wójta czy przysiężnego, na swojego zamożniejszego sąsiada sam pozostając zawsze tylko chałupnikiem.

W takim zdaje się położeniu byli i moi rodzice, właściciele dwu morgów pola i domku, krowiny, prosiątka itd. Coś niby znaczyli we wsi, ale nie tak wiele, żeby ich przozono za starostów na weseli i kumów na chrzciny, bo ten za nich zaszczyt pełnił mój bogatszy i zasobniejszy. Przy wyborach do rady gminnej ojciec też dostał 5 — 8 głosów na radnego, ale ponieważ do wyboru potrzeba było głosów 12 — ojciec nigdy radnym nie został. Każdy wyborca wolał w ostateczności dać kreskę bogatszemu niż biednemu, bo w cień tamtego miał nadzieję jakoś się uchować. Nie wiem czy rodzice chałupników zdawali sobie z tego sprawę, że na tym upokorzeniu cierpieli najwięcej ich dzieci też wszędzie na równi z ich rodzicami nie doceniane, a nawet i poniewierane. Czy to było na nauce religii, na lekcji w szkole, czy na drodze — skąd, nauczyciel, czy gospodarz zawsze przedziwiał się, ile biednego, niż na syna bogatych rodziców, przedziwiał się biedny, niż bogaty dostał na skórę. A cóż za upokorzenie było, gdy się wyganalo bydło w pole, lub szło się do szkoły! Dzieci bogatszych rodziców poganiały sobie z dumą kilkoro bydła, gdy syn chałupnika z upokorzeniem poganiał za nimi jeden jedyny odpowiednio wychudzony „krowi ogon”. A w szkole zamiast chleba z masłem, albo z kiełbasą, jakie mieli tamci, musiał nieraz na pauzie przegryzać, chłapiąc łzy, pieczone bób lub groch, albo najwyższy sam suchy jałowy chleb. Nic dziwnego, że podobny zawód rolnika, jakim był mój ojciec, nie uśmiechał mi się bardzo. Złotodźób jeszcze byłem, żebym jakieś uwagi w kierunku lepszej gospodarki miał wtrącać rodzicom do rozmowy. Na małych czytankach, jakie urządzał w mojej wiosce Grobiu ilustrator kółek rolniczych p. Tatora — omawiał potrzebne wprowadzenie należącego płodozmianu, lepszej uprawy zbóż i łąk, pielęgnowanie drzew owocowych, chów bydła itd. — cóż, skoro nie bardzo można było wszystkie doświadczenia przeprowadzać z powodu braku odpowiedniej ilości ziemi. Nauka o rolnictwie zaprzętała mi jednak głowę, chciałem coś pomóc w tym kierunku rodzicom, ale ani sam w gospodarstwie nic nowego nie umiałem, ani rodzice nie byli, jako ludzie starej daty do jakichś postępów zdolni. Obiecywałem sobie tylko, że jak podrosną, udam się choćby pieszo i daleko do jakiejś szkoły rolniczej na naukę. Pojnowałem, że rolnictwo, jak innego rzemiosła, uczyć się trzeba! Ale o żadnej nauce w moich opłakanych warunkach nie mogło być mowy, nie rozumieli się na tym rodzice, a sam cóż mogłem bez pomocy zrobić? Wytrwałem tylko do 18 lat na wsi — marnując na ziemi część młodości, po czym prawie że uciekłem w świat na naukę, a często na poniewierkę. Byłem synem ziemi, krawczyłem mi chłopkość i umiłowanie pracy na roli „we krwi”, to też gdzie się znajdowałem: na Bukowinie, Morawach, Czechach i Niemczech podpatrywałem sposób gospodarowania tamtejszych rolników właścian, notując sobie w głowie najlepsze metody, pracy na roli i najlepszy jej wszędzie wynik. Miałem bowiem ochotę wrócić na wieś i zapoczątkować w niej postępowe i najlepsze sposoby gospodarowania, żeby porwać za sobą świetniejszych gospodarzy i założyć nową postępową gospodarczą wieś! Niestety! gdy już miałem swoje zamierzenie zamienić w czyn, dowiedziałem się, że rodzice cały swój szczypty majątek zapisali siostrze, mnie zostawiając mało znaczący spadek. Z tą chwilą nie miałem po co na wieś wracać, bo przecież żadną porządną wiejską dziewoją nie oddała by mi ręki, a ożenić się z córką komornika czy fonała jakąż dla mnie byłaby na wsi przyszłość? Ruszyłem znowu w podróż po świecie, nie obce mi były najcięższe prace, ni głód czy chłód, a udało mi się wypląnąć w Redakcji „Wieńca-Pszczółki” przy boku ks. Stanisława Stojalowskiego, Niedługo jednak ks. Stojalowski zmarł (w r. 1911); mnie powołano do austriackiego wojska, a po dwu latach i na wojnę, która wybuchła jak wiadomo w r. 1914. Wyruszyłem w pole z 13 p. p. „Krakowskich Dzieci”. Ponieważ w lipcu 1916 r. zostałem ciężko ranny, musiano mnie wywieźć do szpitala, a po względny wyzdrowieniu Komenda Szpitala — w myśl wskazań władz wojskowych, odesłała mnie do wybranego sobie celu szkolenia i zawodu do Szkoły Rolniczej w Zabrzegu n/Odra (Morawy) na 6-miesięczny kurs rolniczy dla inwalidów wojennych.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

rahlali pańskie, po czym robili w tył zwrot i uchodzili do domu. Co do mnie, to starałem się najpierw opanować czeski język, a gdy mi się to niedługo udało, zacząłem i z nauki korzystać bardzo wiele. Nie ograniczałem się przy tym do samego słuchania wykładów, ale

przerabiałem materiały i zadania w domu, starając się opanować wszystko pamięciowo. Wysiki moje nie poszły na marne, to też kiedy skończyłem szkołę i wróciłem w rodzinne progi, zdobyłem według i posadę w Małopolskim Towarzystwie Rolniczym jako in-

struktor rolny. Po pewnym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

przerabiałem materiały i zadania w domu, starając się opanować wszystko pamięciowo. Wysiki moje nie poszły na marne, to też kiedy skończyłem szkołę i wróciłem w rodzinne progi, zdobyłem według i posadę w Małopolskim Towarzystwie Rolniczym jako in-

struktor rolny. Po pewnym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

W tym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie faldów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzałem niekiedy zazdrość u innych agromomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczceni, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiędziałem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, nieimniej gdy zjawiałem się w niej jako wsi z odczytami i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkoła rolnicza we wsi, zawsze wskazywało mi wtedy jakiego „pszczeliaka”, t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie. Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopci kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

„Trzeba zapalić kogoś”...

W tygodniku społeczno-literackim „WIEŚ” z dnia 23 marca r. b. Nr. 12 (91) na str. 7 spotkał się z dość ciekawym artykułem p. t. „LIST Z KIELECZYZNY”, którego autorem jest obywatel Jan Zieliński.

W treści między innymi poruszane są sprawy gospodarze regionu, które dotyczą prac naszej placówki, a mianowicie: „Moc ziemi Kieleckiej płynie z jej lasów. Przetrzebionych, poszarpanych jak Warszawa przez zbrodniarzy hitlerowskich, ale ostających i spokojnie szemrzących swe modlitwy za przeszłość i o lepszą przyszłość. U stóp drzew — bogactwo owoców leśnych, jagód i moc grzybów. Trzeba nam o tym mówić, trzeba zapalić kogoś... by zechciał zmobilizować energię społeczną i stworzył warunki eksploatacji tych bogactw — darów natury.”

„Tak istotnie jest. Człowiek kształtuje rzeczywistość. I człowiek stanowi najistotniejszą, największą bogactwo. Człowiek Ziemi Kieleckiej w chwili obecnej jest jej największą mocą, największą siłą.”

Niniejszym pragniemy sprostować niezgodność treści przytoczonego wyżej ustępu ze stanem rzeczywistym, a zarazem pragniemy aby nasze wyjaśnienia stanowiły niejako informację dla szerokiego mas wsi, czytelników tygodnika społeczno-literackiego „WIEŚ”.

Niezłownie po wywołaniu znaleźli się ludzie „zapaleni... zmobilizowali energię społeczną i stworzyli warunki eksploatacji tych bogactw — darów natury”, bo oto „zapaleni”, w wielkich trudach zorganizowali na terenie Kielec (z terenem działalności na pow. Kielec, Stopnica, Busko, Pińczów i Włoszczowa) Spółdzielnię p. n. Spółdzielnia Ogrodnicza i Zbiór Roślin Leczniczych z odpow. udz., której zadaniem m. innymi jest:

1) podniesienie kultury ogrodnictwa na terenach objętych statutem;

2) szkolenie nowych kadr fachowców w tej nowej dziedzinie naszego życia gospodarczego;

3) skup jagód, ziół leczniczych, grzybów, ich przetwórstwo i zbył.